Nr. 23. Warszawa, dnia 29 Maja (10 Czerwca) 1899 r. Rok XIX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Szan. Abonentów półrocznych i kwartalnych prosimy o odnowienie prenumeraty.

POLITYKA.

Konferencye w Hadze.

III.

Takiemi samemi trudnościami, jak ograniczenie uzbrojeń, najeżone jest i rozjemstwo pokojowe przed wojną. Musiałyby mocarstwa czuć nad sobą wyższą jakąś potęgę, jakąś osobę moralną, z nich samych, czy też z narodów przez postęp, a raczej pochód dziejów—używamy tu rozmyślnie wyrazu bez ideowego zabarwienia — wytwarzaną. Dopiero z takiego poczucia mógłby wykiełkować i w umysły wrosnąć pokój jako trwała zasada życia dziejowego, w prawo uprzedzania porywów wojennych zbrojną.

Dla wykrzesania woli, wystarczającej do zaprowadzenia stałych sądów rozjemczych, właściwie zaś jednego dla wszystkich *forum* pojednawczego, musiałyby ustać podboje, musiałaby wygasnąć pożądliwość sięgająca po cudze; spory z treści swojej, musiałyby być takiemi, żeby w nich zawsze dało się stwierdzić prawo rzeczywiste jednej strony, pogwałcone przez drugą. Z punktu widzenia polityki, a nie prawa i moralności, zatargi między mocarstwami, prowadzące do wojen, przedstawiają się tylko jako starcia dwóch równouprawnionych egoizmów, dwóch żądz, dwóch potęg duchowych i materyalnych, z których silniejsza, sprawniejsza i zręczniejsza zwycięża. Dopóki mocarstwa do własnych myśli, czynów, stosunków i interesów przykładać nie przestaną miary wyłącznie politycznej, dopóty działania pojednawcze będą tylko formalnościami, przywiązanemi do wielkiego, w istotną treść życia wyposażonego aktu wojny, ale siły powstrzymującej go nie posiądą. Jest jeszcze przeszkoda inna. Wojna niesie człowiekowi okropność, ale ma dla niego i urok; otwiera mu nową widownię, na której nowe jego siły, popędy, właściwości i zalety, w pokoju nieznane, na jaw wybić się mogą. Zabłyśnie męztwem, wzbije się do bohaterstwa, zyska nieśmiertelną sławę, przyniesie pożytek: i miałby się krępować, ulegać powściągającym wpływom trzeźwości, prawniczego rozsądku, prawnego sumienia mocarstw pośredniczących!

Jeżeli trudnem jest ustalenie sądów polubownych, a choćby tylko pojednawczych, zupełne wygnanie wojny z tego świata wiekuistej walki przyświecać może duszom szlachetnym tylko jako ideał dalekiej przyszłości, od postępującego uduchowiania się nabierający też coraz większego blasku i ciepła. I w świecie politycznym, i w świecie moralnym i w państwie, mocarstwie, systemacie mocarstw, i w człowieku, w duszy jednostki i w popędach gromady, wiele przewrotów, wiele ewolucyjnych momentów spełnić się musi, zanim bóstwo na ołtarz zestąpi. Niemniej marzenie o tem lepszem jutrze, pragnienie i wiara posyłane w otchłań czasów przyszłych są rozkoszą i obowiązkiem serc czystych a umysłów wyższych, do budzenia lepszych w ludzkości instynktów, do chwytania wiekuistości pod zmiennością zjawisk i ukazywania jej jako jedynego dobra uzdolnionych. Idealizm ich jest tylko trzeźwością rozumu wobec bezwiedzy i jeżeli komu, to ludziom z powołania rozumnym, hodowcom naukowego rozumu, nie wolno jest ani przedrwiwać marzeń, ani gasić płomyków wiary w lepszy stan ludzkości — lepszy nie przez wyrzucenie wojny z widowni dziejów, ale przez wygładzenie z dusz ludzkich tej drapieżności, która musi być ciągłem i krzywd i wojen źródłem.

Najlepszym wyrazem tej tęsknoty, tej potrzeby serc i rozumów, które od wilczych pazurów rzeczywistości obronić usiłowały to, co człowiek dla człowieka najdroższego mieć może jest kantowskie *Zum ewigen Frieden*. Nie tu miejsce przypominać zasadnicze myśli mędrca; są one dziwnie proste, zwięzłe, głębokie, a dodane do nich obszerne wyjaśnienia pokazują całą rdzenność przekonań i dziś na poszanowanie zasługujących. Wobec nowych usiłowań, podjętych przez czynną politykę, ważniejsze od marzeń filozofów są próby polityków pracujących przy wrzecionie dziejów, jako też pomysły ściśle na pozytywnych stosunkach chwili danej osnuwane. Najdawniejszym jest projekt Sully'ego przypisywany Henrykowi IV, utrwalenia pokoju między mocarstwami chrześciańskiemi. Znakomity człowiek chciał po pokoju w Vervins (1598) zorganizować stałą radę z 60 pełnomocników mocarstw, po cztery na każde, dopuszczał przytem trzy pomniejsze, do działań przedwstępnych; siedlisko tego senatu rozjemczego miało być w Metz, Nancy lub Kolonii. Porozsyłane do mocarstw europejskich wezwania wprowadziły projekt na tor urzeczywistnienia. Elżbieta angielska w r. 1601 odpowiedziała przychylnie. Nie wiemy, jaka odpowiedź wyszła z kancelaryi warszawskiej. Projekt rozwiał się w mgłę, a dopiero w lat sto kilkanaście wskrzesił go Castel, znany pod imieniem Abbé de St. Pierre, przed samym traktatem utrechckim, w r. 1712. Dwutomowe jego dzieło, z pedanteryą w rozumowaniu napisane, podaje kodeks

z dwunastu artykułów, jako wzór paktu braterstwa między narodami. Było to jeszcze po niszczących kilkodziesięcioletnich wojnach Ludwika XIV, w pałającem jeszcze od zawiści domu austryackiego i domu francuskiego powietrzu. Skrępowanie samowoli dwu tych potęg stanowiło główną nowych pomysłów pobudkę. St. Pierre ustanawiał trybunał z 24 sędziów, po jednym z każdego mocarstwa, dopuszczając i Turcyę; pomyślał nawet i o Ameryce, jak w r. 1884 Europa pomyślała o Afryce. Trybunał wglądać miał nietylko w stosunki międzynarodowe jako stały rozjemca z głosem stanowczym i armią do wykonywania swych postanowień, ale i w stan wewnętrzny państw, dając rządom ich pomoc przeciwko rewolucyi i uzurpacyi. Wszystkie dynastye miały poręczone sobie *uti possidetis*. Dla trwałego rozdzielenia dwóch mocarstw, głównie zakłócających pokój nad Renem, stać miał korpus z 90 tysięcy Polaków, Rosyan i Turków wspólnym kosztem utrzymywany. Dobremi chęciami ożywiony abbé doczekał się tego, że go wydrwiono, a dyplomaci, zgromadzeni w tym samym Utrechcie, który miał na początek być rezydencyą trybunału — podzielili się łupami, zostawiając stos złotych myśli nietkniętym. Wszyscy, i Sully i St. Pierre i Kant—wprowadzają społeczność państw europejskich—Stany Zjednoczone, bez których trybunał wspólny może być tylko pałacem z kart. Wszyscy podstawiają jedną niewiadomą na miejsce drugiej. Cała trudność właśnie tkwi w niemożności zaprowadzenia takiej *Société européenne*, o jakiej marzył autor *Projet de paix perpetuelle pour l'Europe*. I Archimedes byłby poruszył ziemię, gdyby...

Tydzień polityczny. Sąd kasacyjny francuski, złożony z 46 sędziów, po referacie Ballot-Beauprego, głosie prokuratora naczelnego Manau i obronie Dreyfusa przez Mornarda, i wreszcie dwudniowych rozprawach w swem łonie, zacząwszy czynność swoją w poniedziałek d. 29 maja, ukończył ją w sobotę d. 3 czerwca: tegoż samego dnia ogłosił wyrok na podstawie § 4 art. 443, art. 445 k. karnego i prawa z d. 1 marca 1899 r., z dekretacyą poprzedzoną 19 motywami, a opiewającą: „Kasuje i unieważnia wyrok z d. 22 grudnia 1894 r. na Alfreda Dreyfusa i odsyła skazanego przed nowy sąd wojenny w Rennes, wybrany na specyalnej sesyi trybunału, a to celem odpowiedzi na pytanie (postawione sądowi z r. 1894): „Czy Dreyfus jest winnym,' że w r. 1894 utrzymywał występne stosunki lub wchodził w porozumienie z obcem mocarstwem albo jego agentami, ażeby mocarstwo to zachęcić do rozpoczęcia kroków nieprzyjacielskich i samej wojny przeciwko Francyi, i czy dostarczył mu do tego środków, zaopatrzywszy go we wskazane w dokumencie, zwanym *bordereau*, wskazówki i dokumenty?"

Na koniec przyszłego tygodnia rodzina Dreyfusa spodziewa się przywiezienia go do Brestu.

Arystokraci i klubo-dżokeje francuscy znaleźli wśród siebie bonapartystę Christianiego, do wywarcia zemsty na Loubecie za jego chłopskie pochodzenie, szczery dotychczas republikanizm i nawet za skasowanie przez sąd wyroku na Dreyfusa. Indywiduum pomienione w niedzielę w południe, na wyścigach w Auteuil pod Paryżem, wpadło do loży prezydenta i uderzyło go kijem. Uwięziono je wraz ze 150 Derouledzistami. Złota hałastra przed czynem wrzeszczała: „Precz z Loubetem!" Christiani siedzi w więzieniu i pójdzie pod sąd. Paryż d. 5 b. m. wyprawił Loubetowi manifestacyę współczucia. Izba i senat uchwaliły porządek dzienny.

Nareszcie aresztowano Du Paty de Clama, wspólnika Henry'ego i Esterhazego. Rząd zawiadomił Izbę, że zastanawia się nad koniecznością aresztowania gen. Mercier a ministra wojny z r. 1894. Gonse i Boisdeffre po Mercier'ze pierwsi na liście. Minister wojny, Krantz, zarządził śledztwo przeciw gen. Pellieux. Czas już zabrać się do Esterhazego, który przejechał z Londynu do Brukselli i tam przyznaje się, że to on pisał *bordereau*. Cała jaskinia zbrodni! Zola w Paryżu; Picquart ma być wypuszczony na wolność. Deroulède i Habert przez sąd przysięgłych puszczeni wolno.

Kortezy hiszpańskie d. 2 b. m. zagajone. Hiszpania w lutym r. b. sprzedała wyspy Karolińskie i część Maryańskich. Służba powszechna w wojsku, poprawa skarbowości przez nowe podatki. Reszta wojska hiszpańskiego pod Riosem opuściła wyspy Filipińskie.

Ugoda węgiersko-przedlitawska przez trzy dni przeszłego tygodnia nie ruszyła się z miejsca. D. 31 b. m. Thun i Szell byli trzykrotnie u cesarza; nic nie pomogło. Szell wyjednał u sejmu odroczenie się. W tym tygodniu powrócił z kolegami i nowym projektem, przyjaźniejszym dla Przedlitawii. Przewidują układ dopiero na jesieni.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

„W NASZYCH SPRAWACH."

* *

M[illegible] przed sobą książkę niezwykłą [illegible] tego względu, [illegible] jest ona owocem pracy ludzi przeważnie nienależących ani do cechu dziennikarskiego, ani literackiego, a zabierających głos w tych sprawach, które dotychczas były roztrząsane w druku niemal wyłącznie przez fachowców literacko - dziennikarskich. Książka (o ile sądzić można, jest początkiem seryi wydawnictw) składa się z artykułów zbiorowych, czyli „szkiców w kwestyach ekonomiczno-społecznych," napisanych przez pp. Władysława Grabskiego, Juliusza Waliszewskiego, dr. Stanisława Bukowieckiego, Zdzisława Korsaka, Bronisława Bouffałła, Stanisława Kłobukowskiego i Henryka Radziszewskiego.

„Książka nasza — czytamy na wstępie— nie powstała bynajmniej z zamiarem pouczania społeczności, nie ma pretensyi do narzucania jej jakichś nowych haseł lub odkrywania nowych dróg — zgoła nie powstała jako zbiorowy traktat o naprawie. Przeciwnie, poruszone w niej sprawy należą do tych, które bardzo często bywały i bywają przedmiotem uwagi ogółu i badania fachowców .. Autorowie, zabierający głos po kolei w naszych sprawach, nie stanowią bynajmniej grupy jednolitej i tem samem nie występują z żadnym programem. Poglądy autorów wzajem się nie obowiązują. W naszem życiu towarzyskiem nie od dziś rozwinęły się formy obcowania, wykraczające po za sferę konwersacyj salonowych, odpowiadające raczej potrzebie ciągłego czuwania opinii publicznej nad sobą, ciągłej wymiany poglądów najrozmaitszych ludzi w jednych i tych samych,

ZA PÓŹNO.

ELEGIA.

Przez drobny pryzmat własnej duszy można oglądać dokładnie cudzą — wielką duszę, jak z małego okienka świat szeroki

W połowie drogi mojego żywota" — chociaż nie błyszczał na czole mojem dantejski wieniec z laurowych [illegible]rni, chociaż barki me słabe nie zginały [illegible] pod olbrzymiem brzemieniem i szczę[illegible]em geniusza — uczułem się jednak nie mniej zmęczonym i smutnym, jak ci szlachetni a wielcy, którzy świecą i służą ludzkości całej i cierpią ogromnie za ludzkość. Nie świecąc jej i nie służąc, cierpiałem za nią może jak święty, dobry geniusz — tak mocno i tak głęboko. Serce miałem naprawdę wielkie, „geniusz" w odczuciu i współczuciu swojem.

Ze stromej a kamienistej ścieżki życia mego musiałem spychać głaz po głazie, by odwojować sobie każdy krok trudnej drogi. I czyniłem to na początku z wesołą pieśnią bojową, jak młody żołnierz, ufny w zwycięztwo, jak młody robotnik, wierzący w siły swoje, spoczynek i nagrodę. Byłem sam jeden, byłem bardzo młody — ufałem w przyszłość i kochałem przyszłość tę namiętnie, jakby istniała już naprawdę tak piękna, jaką ją mieć pragnąłem. Dzień po dniu, rok po roku schodził, a czarodziejska postać przyszłości mojej cofała się i cofała wciąż jeszcze przede mną, błyskając dyamentami figlarnych oczu, uśmiechając się zalotnie koralami ust — z po za wabnej maski. A gdy przyspieszywszy kroku, chwyciłem wreszcie w ramiona czarodziejkę, oczy jej ćmiły się łzami, usta drgały z boleści. I upajałem się tylko łzami temi — i trułem się tylko goryczą ust cierpiących...

Na drodze mej tymczasem coraz to cięższe gromadziły się bryły. Stąpałem po niej tem nieszczęśliwszy, że nie samotny już więcej. Szły za mną istoty słabe, lecz mocno uczepione za mnie drobnemi rączętami. Prześliczna wizya przyszłości zestarzała się tymczasem, traciła stopniowo czar swój nadziemski — i oto stąpała już przy mnie, nie cofając się więcej, gdy nie sięgałem już po nią — z odkrytą twarzą wybladłą, z apatycznym uśmiechem na zwiędłych wargach. I już zdawało mi się, że mozolnym tym szlakiem, wytkniętym mi raz na zawsze, będę szedł póki nogi nieść będą, aż strudzony usnę na krańcu przebytych urwisk, by nie obudzić się więcej. Uczułem jednak z rozpaczą, że ciężar mój wciąż jeszcze powiększa się i wzrasta. Obejrzałem się więc po za siebie — i serce moje skurczyło się nagle ze strachu i z bólu...

Za tem najbliższem i najdroższem brzemieniem mojem sunęły tłumy olbrzymie z całymi wulkanami swych nieszczęść, z całym bezmiarem okrucieństwa swego. Niezliczone jakieś ramiona czepiały się kurczowo osłabłych już i pochylonych bark moich. Nieszczęsne serce moje na ich widok rozszerzało się po nad miarę wszelką, aby przyjąć ten ocean niedoli w swe głębie — i rwało się na strzępy pod strasznym jego ciężarem. I najmarniejsze stworzenie, mucha nawet, ginąca w kleszczach pająka, ryba miotająca się w sidłach ośmionoga — rościły prawa do tego serca zbolałego, szarpały z niego swoją część litości i żalu, krwi mojej i łez z moich źrenic... Pełen męki i przerażenia — odwróciłem się od hydry tej dwugłowej — grzechu i bólu — wytężając resztkę sił swoich, by uciec od niezliczonych jej ramion, drapieżnie wyciągniętych ku mnie. Usiłowałem nie oglądać się więcej po za siebie — i tylko ciężar najdroższy i najbliższy unosić póki sił stanie... Usiłowałem, ale widziałem wciąż, nie patrząc — i pamiętałem, pragnąc zapomnienia.

Aż oto dnia pewnego, zamiast najeżonych głosów, ujrzałem na drodze mojej

cały ogół obchodzących kwestyach. Starzy i młodzi potrzebują tej wymiany myśli, jak powszedniego chleba, więc ją praktykują, powodowani poprostu poczuciem pewnego głodu, który tylko ta wymiana zaspokoić może."

Autorowie książki zbiorowej, jak się dowiadujemy ze wstępu, są to przeważnie ludzie młodzi, którzy właśnie poczuli ten głód i postanowili go zaspokoić. Wzajemna wymiana poglądów i roztrząsanie różnych kwestyj żywotnych nasunęły im myśl utrwalenia tych rozmyślań i pogawędek — w druku. „Niektóre z tych rozmów przynosiły jakiś ciekawy szczegół lub parę świeżych myśli — wszystko zaś toczyło się w dobrej wierze i w rozumieniu, że nietylko prawem, lecz i obowiązkiem wszystkich jest brać udział w nieustającej nigdy pracy kształtowania się opinii publicznej."

Grupa tych ludzi, ożywionych dobremi chęciami, stworzyła tedy rodzaj sztambucha, „w którym zamiast wierszy wpisywano często cyfry." Nie mylą się oni, przypuszczając, że jakiś szczegół w ich pracach posłuży na pożytek innej myślącej grupie naszej inteligencyi, lub zachęci znowu jakieś grono młodych „do podobnej rozrywki." W książce znajdujemy kilka ciekawych prac, a w nich istotnie garść nowych szczegółów, zaczerpniętych bezpośrednio z życia. Przeważnie traktować je należy jako materyał bardzo pożądany do innych prac i wywodów ogólnych, jak np. „Podatki gruntowe w Królestwie Polskiem," rzecz napisana bardzo skrzętnie przez p. Radziszewskiego, „Organizacya miast w Królestwie Polskiem" przez p. Bouffałła. Wreszcie mają pewną wartość uwagi i notatki innych autorów np. o giełdzie zbożowej w Warszawie, w sprawach górnictwa, o stosunkach handlowych, albo np. notatki z wrażeń długoletniego członka sądu gminnego. Do niektórych spraw, jako materyału, wrócimy jeszcze przy sposobności; obecnie zaś chcemy powiedzieć słów kilka o samym fakcie ukazania się książki. Jest ona głosem, wychodzącym bezpośrednio z życia. Takich głosów u nas brak wielki. Dlatego też uciekamy się niejednostronnie do kwestyonaryuszów i „ankiet" najczęściej zawodnych; w braku zaś tej drogi posługujemy się bądź materyałem niepewnym, bądź przestarzałym i niedokładnym. Nie chcemy przez to powiedzieć, że niniejsza książka zbiorowa zaspakaja te luki. Jest ona tylko drobnostką w stosunku do potrzeby wyświetlenia różnych zjawisk społecznych i ekonomicznych. Głównie mówimy o niej ze względu na rodzaj i formę wystąpienia ludzi, jak sądzę, stykających się bezpośrednio z praktyką życiową. Nie możemy nawet tak bardzo zachęcać wielu innych do naśladowania autorów książki zbiorowej, gdyż w ten sposób mogłaby znaleźć upust nowa postać grafomanii. Pragniemy tylko, ażeby za tym przykładem poszli jedynie ci, którzy istotnie coś wiedzą i umieją sformułować swoje spostrzeżenia z życia. Takich ludzi, bardzo zdolnych, poważnych i gruntownie wykształconych, mamy sporo. Do pióra oni się nie biorą, popierwsze, że nie mają żadnego bodźca po temu, powtóre, że nie chcą lub nie mogą się naginać do form i wymagań dziennikarskich. Dlatego też zapanowała u nas wszechwładnie reportərya, nawet w sprawach specyalnych, wymagających głębokiej znajomości rzeczy. Dlatego informacye bywają niedokładne, a oświetlenie wielu zjawisk fałszywe. Dlatego niejednokrotnie dziennikarstwo, pomimo że się uważa za kierownika opinii publicznej, pomimo że idzie naprzód, „trzymając za puls społeczeństwo," częstokroć tego pulsu domacać się nie może, więc stan chorobliwy bierze za normalny, więc nie widzi gorączki życiowej lub dostrzega stan anemiczny tam, gdzie się życie pełne soków budzi i wymaga tylko rozpędu. Niech więc fachowcy gruntownie ukształceni, czy to rolnicy, czy lekarze, czy technicy, inżenierowie, adwokaci, czy handlowcy lub przemysłowcy, wreszcie różni inni pracownicy, biorą się do pisania i wydawania takich „sztambuchów," o ile znają dokładnie życie i mogą się zdobyć na jasny, bezstronny sąd o rzeczy. Tym sposobem mógłby powstać materyał cenny w naszych sprawach i przyczynić się do wyświetlenia niejednego zjawiska, do wskazania niejednej drogi, której nie widząc, idziemy po omacku i błądzimy.

KRONIKA POZNAŃSKA.

Towarzystwo niemiecko-katolickie. — Bezkarność. — Interpelacya w sprawie zabicia ucznia. — Stały system pedagogiczny. — Sprawa robotników rolnych w parlamencie. — Napisy polskie. — Walka z hazardem.

Powstało w Poznaniu Towarzystwo niemiecko-katolickie, które ma działać w mieście i okolicach. Celem jego ma być: zacieśnianie węzłów towarzyskości i znajomości pomiędzy Niemcami-katolikami za pomocą zebrań, odczytów i zabaw. W gruncie rzeczy są tu cele głębsze i poważniejsze. Jest to ogniwo katolicyzmu państwowego. Jak wiadomo, w ostatnich czasach do dzielnic wschodnich napłynęło mnóstwo urzędników katolickich (średnich i niższych) z polecenia wyższego. Żądają oni obecnie niemieckich nabożeństw w kościołach, posługujących się dotąd wyłącznie językiem polskim. Urzędnicy w tej nowej propagandzie są właściwie tylko narzędziem władzy. Pionki te, kierowane ręką ukrytą, posuwają się coraz dalej. Niedawno np. powstał projekt wyzwolenia Niemców katolików z pod juryzdykcyi kościelnej arcybiskupa gnieźnieńskiego i poznańskiego. Wreszcie staraniem regencyi poznańskiej zwołano zebranie urzędników i nauczycieli niemieckich, katolików, na którem poruszono sprawę zniesienia polskiego wykładu religii w szkołach elementarnych.

Co do nauczycieli Niemców katolików, mają oni piękne zadania: nietylko germanizacyę, lecz i kampanię kłamliwą w prasie. Jak zaś oni są mocni i jak nietykalni, świadczy bezkarność nauczyciela, który zamordował ucznia, Polaka. O wypadku tym wspominaliśmy w artykule poprzednim; obecnie dorzucimy jeszcze kilka szczegó-

---

róż kilka, świecących blaskiem jutrzenki, wonnych jak maj w rodzinnym moim kraju. Cofnąłem się przed niemi zdumiony i ominąłem je niedbale, nie chcąc wierzyć, by mogły być przeznaczone dla strudzonego szaraka. Takem się był przystosował do czarnych ram życia mego, jak niektóre zyjątka przystosowują swe barwy do miejsca zamieszkania. I wyciągnąłem znów ręce do spychania mych głazów, lecz uczułem ze zdziwienia, iż lżejsze są o połowę i że coraz mniej ich gromadziło się przede mną. Szlak twardy zaroił się znienacka od ludzi, a ludzie ci wyciągali ku mnie ze wszech stron dłonie przyjazne i pomocnicze. Dłonie te niezliczone ukazywały mi coś jasnego w bliskości, a głosy nawoływały, abym zagasły wzrok rozniecił i podniósł go znowu do góry...

— Przyszłość?!... i to taka przyszłość o jakiej nawet w młodych snach moich marzyć dla siebie nie śmiałem?!... Dla mnie?... Ależ to złe żarty. Zapóźno!... zapóźno.

A oni wciąż wskazują, wciąż nawołują uparcie. Gdybym usłuchał, uwierzył?!... Przyszłość ta wydałaby mi się tak bliską, jakby teraźniejszością już była. Obie jej dłonie wyciągnięte ku mnie ciepło, serdecznie. Na pięknej znowu twarzy — promienieje pogoda — a nawet imponujący tryumf. Przede mną droga czysta i gładka jak pole szerokie, zielone — gdzieniegdzie tylko cierń ostry zaczerni się zdala, ale i ten znika po chwili.

Odtąd dzień po dniu — kamienie zmieniały mi się w róże, chmury w obłoki wiosenne, przepaście w groty czarodziejskie, wichry — w zefiry sławy, chłodzące mi żar czoła...

Tylko serce moje, serce nieszczęsne, przeklęte — nie otwierało się dla promieni i dla słodyczy, bo przesyciły je były i przepoiły rozpacze świata całego. Nie mogło już odczuć nagłego szczęścia człowieka, w którego łonie uderzało, zatrute cierpieniami wszystkich innych ludzi, zatrute jego własnem długiem, niezasłużonem cierpieniem.

Nierówne szale! na jednej drobny karzełek w różanym wieńcu na głowie, w jasnej szacie godowej — na drugiej olbrzym bezmierny w płaszczu żałobnym, w wieńcu cierniowym. Takim się wydawałem sam sobie, a takim świat pozostały — i nie mogłem dojrzeć własnych spóźnionych radości, jak pyłka niewidzialnego oku.

Lecz inne, cudze serca zabiły dla mnie współczuciem i sympatyą gorącą. W bliskości mojej znalazły się istoty, co mię na klęczkach błagały, bym się rozejrzał po rozjaśnionym horyzoncie życia, bym skosztował wreszcie radości jego. I tyle było ciepła i mocy w tych błaganiach, że ścierpłe serce moje drgnęło - i zapaliła się w niem blada iskierka litości nad owym karzełkiem ukwieconym, który nie umiał i nie chciał cieszyć się z bożej łaski...

Ha, sprobojmy!

* *

— Należą się panu niezaprzeczenie jak najszersze widnokręgi świata. Kto taką potęgę w sobie nosi — ten wymaga odpowiedniej dla niej perspektywy. Dotychczasowe warunki pańskie były zbyt nieproporcyonalne do jego talentu. Nietylko o Europę, ale i o Amerykę powinny się odbić echa jego mocy.

Podobnie mówią wszyscy oni dalsi. Zalecają mi sławę jako środek leczniczy. Czy uzdrowi on jednak stosunek „widnokręgów" moich wewnętrznych z zewnętrznymi? Lecz i tuż przy mnie rozlegają się nieustannie dwa głosy - głosiki: jeden młody, kobiecy, drugi dziecinny, szczebiocący.

— Sprobuj naprawdę jeszcze szerszego lotu. Odżyjesz i rozprostujesz ramiona. Potrzeba ci wolnego powietrza, mój ty najdroższy. I ja też wcale nie myślę się pozbawiać roli twojej „garde-malade!" Bardzo to wdzięczna rola od pewnego czasu. Rozkoszny urok nowości na każdym kroku! Pomijając już podróż samą — nawet dla statku, pełnego komfortu, dla własne-

łów charakterystycznych. Nauczyciel skatował malca w szkole, wlókł go po ławkach i bił kijem trzcinowym tak gwałtownie, że złamał mu krzyż i przerwał kiszkę. Poczem sam się zgłosił do prokuratora; lecz tutaj zaszła rzecz niesłychana w dziejach sprawiedliwości. Sąd i medycyna sądowa wzięły w obronę zbrodniarza, jawnie przyznającego się do winy. Powiedziano, że to malec padł ofiarą zabawy w krąg podczas pauzy. Wypadek ten wszakże narobił wielkiej wrzawy i wywołał ogromne oburzenie opinii publicznej. Koło polskie postanowiło nawet całą sprawę poruszyć w Berlinie. Ale, niestety, zaszła tu ważna przeszkoda formalna: Do wniesienia interpelacyi potrzeba 20 głosów, tymczasem Koło polskie posiada ich zaledwie 13. Centrum nie mogło uzupełnić tej skromnej liczby, więc interpelacya nie przyszła do skutku. Sprawa jednak nie będzie zupełnie pogrzebana. Przejdzie ona do sejmu, aczkolwiek bardzo złagodzona — w formie wniosku, który zażąda, ażeby zmniejszono surowość kary, wymierzanej przez nauczycieli. Wniosek taki wymaga tylko 15 podpisów, które ofiarowali już Duńczycy i kilku Polaków z centrum. Dzięki temu, może będzie ujawniony protokół obdukcyi lekarzy-hakatystów, a nauczyciel-morderca... przejdzie na inną posadę za swoje zasługi.

Wszakże katowanie dzieci, to uprawniony i stale zalecany system pedagogiczny. Czy można tedy żądać, ażeby Niemcy uważali takie postępowanie za zbrodnię? Oto organ nauczycieli W. Ks. Poznańskiego, *Posener Lehrer-Zeitung*, donosi, że w jednym z zakładów przygotowawczych do stanu nauczycielskiego w obwodzie regencyjnym bydgoskim kierownik strasznie katuje powierzonych mu młodzieńców. Używa on wszelkich najsurowszych środków, stosowanych w przymusowych zakładach wychowawczych. Niedawno np. straszliwie zbito dwu młodzieńców w wieku 17 i 18 lat. Każdemu z nich wymierzono po 18 uderzeń grubym kijem. Egzekucyę tę polecono wykonać dwunastu innym kandydatom na nauczycieli.

Sprawa robotników rolnych staje się coraz żywotniejszą, tak dalece, że już w parlamencie namiętne utarczki wywołuje. Deputowani Molkenburn i Stadthagen roztoczyli straszny obraz wyzysku robotników przez ziemian polskich w Poznańskiem i Prusiech Zachodnich. Nadto wystąpili ostro przeciwko napływowi robotników z Królestwa Polskiego i Galicyi, gdyż oni, ich zdaniem, wytwarzają „Schmutzkonkurrenz." Jako dowód ciężkiego położenia ludności robotniczej w Poznańskiem i Prusiech Zachodnich, podali fakt wychodźtwa ich do Saksonii i do innych odległych prowincyj państwa. W obronie zarobkodawców polskich wystąpił poseł ks. Jażdżewski, dowodząc, że przyczyna lichych warunków materyalnych ludności robotniczej tkwi nie w wyzysku, lecz w polityce rządu, która z każdym rokiem pogorsza warunki ekonomiczne kraju. Zdaniem ks. J., wychodźtwo rzeczone wynika nietylko z konieczności polepszenia bytu, lecz także z wielu innych przyczyn, jak np. „żądza zabawy i rozkiełznanie" młodzieży w wielkich ogniskach przemysłu. Ci, którzy spróbowali tego życia, otarli się o inną kulturę, wyciągają następnie swoich towarzyszów i krewnych z cichych zakątków kraju, ażeby „użyli żywota." Oto jest powód, dlaczego liczni robotnicy, którym dobrze się działo w kraju, powędrowali w dalsze strony. „Nie należy czynić ogólnikowych zarzutów — woła ks. Jażdżewski — jakoby w prowincyach wschodnich robotnik wyżyć nie mógł. My, patrząc na to bliżej, wiemy doskonale, że prawie bez wyjątku wszyscy właściciele mniejsi i więksi robią co tylko mogą, ażeby złagodzić biedę ludności robotniczej i wogóle poprawić jej położenie socyalne."

Co do zarzutu „brudnej konkurencyi," ks. Jażdżewski w następujący sposób usiłował odeprzeć zarzuty: „Nie wiem, jakiem prawem można się wyrażać tak ubliżająco o uczciwych i spokojnych robotnikach, którzy przypadkowo są poddanymi innego państwa. Czy wyrażenie „brudna konkurencya" może być zastosowane do robotników, którzy nikogo nie wypierają, nikogo nie krzywdzą, lecz wypełniają tylko luki w tutejszem rolnictwie i przemyśle? Za cóż ich karać? Jeżeli ludzie, którzy nie mają na miejscu zarobku lub mają niedostateczny, dążą do polskich dzielnic Prus, skąd robotnicy miejscowi dobrowolnie wychodzą, to nikt chyba nie ma prawa publicznie za to znieważać. Nie zasługują oni na jakiekolwiek zarzuty ze stanowiska obecnego. Jeżeli ci robotnicy w pocie czoła uczciwie na kawałek chleba pracują, to nie godzi się, aby przedstawiciel stronnictwa robotniczego rzucał im obelgi..." „Wszelkie czynione przez panów radykalnych zarzuty — mówił dalej ks. Jażdżewski — brzmiały jako ogólne oskarżenie wszystkich zarobkodawców i ziemian polskich na Wschodzie. Oskarżenie to — niesłuszne i bezpodstawne. Protestuję przeciwko ubliżającemu traktowaniu spokojnych i uczciwych robotników polskich, przybyszów z innych państw. Sądzę, że lżenie tych ludzi przez panów z lewicy jest nawet wykroczeniem przeciwko regulaminowi Izby. Nikt nie ma prawa w taki sposób odzywać się o ludziach, zarabiających uczciwie na kawałek chleba i dopomagających tutejszemu rolnictwu w jego krytycznem położeniu."

Umyślnie przytoczyliśmy tych parę urywków z obrony ks. Jażdżewskiego, ażeby wykazać z jednej strony nastrój lewicy względem robotników polskich, z drugiej zaś — nie dość silną argumentacyę ich obrońcy. Za dużo patosu i sentymentalizmu, za mało dowodów silnych, miażdżących. Skutkiem tego za dużo było protestów, wesołości na lewicy. Wogóle słabą stroną ks. Jażdżewskiego były zbyt powierzchowne i miejscami naciągane poglądy ekonomiczne na przyczyny wychodźtwa. To przeciwnikom dało sposobność do szyderstwa. Zresztą słowa przebrzmią, czyny pozostaną.

Do jakich granic czyny te dochodzą, jak dalece hakatyści posuwają się w drażnieniu na każdym kroku żywiołu polskiego, świadczą następujące fakty charakterystyczne. W mieście Świeciu jakiś policyant spostrzegł, że niektórzy rzemieślnicy polscy powywieszali szyldy z napisami nieprawidłowymi; mianowicie napisy polskie były po lewej stronie, a niemieckie po prawej. Ponieważ w oczach policyi wydało się to wielkiem przestępstwem, więc nakazała pod karą 60 marek zmienić szyldy jak najprędzej. Zaatakowani nie ulegli temu nakazowi, lecz zwrócili się do wyższej władzy, która orzekła, że policya nie ma prawa nakładać kar takich. Ale oto sędzia ziemiański, wyrokujący w drugiej instancyi, nie podzielił tego zdania i zupełnie z własnej inicyatywy poruszył kwestyę zastosowania przepisów o języku urzędowym (z r. 1876) nawet do ogłoszeń prywatnych i publicznych, ażeby tym sposobem zakazy policyi uzyskały prawomocność. Oczywiście można przewidywać, że gorliwy sędzia będzie święcił tryumf i otrzyma stosowną, dobrze zasłużoną nagrodę, od hakatystów.

Szykany tego rodzaju nie są pierwsze i ostatnie. Przecież w Poznaniu pokasowano różne napisy polskie, a nawet pewnemu Polakowi na szyldzie kupieckim kaza-

---

go wagonu i dla gustownie wytwornych kostiumów podróżnych, gotowa jestem nietylko jeden, ale dwa przebyć oceany — chociażby do Australii pojechać!..

Uśmiecha się, żartuje — „domaga się energicznie swej części z uczty bogacza po długim poście," a z oczu jej wyziera tymczasem jakiś tragiczny niepokój o mnie... tylko o mnie.

— Przebyć przynajmniej pół drogi „Nautilusów" i „Dunkanów!" Czyż podobna się wahać wobec takich ponęt?...

Sztucznie — poważny głosik chłopięcy drży ze wzruszenia, błyszczące oczka powleka trwoga zawodu.

— I lala pojedzie także w ślicznej łódeczce po pięknej dużej wodzie.

— Lala ziezie tazie! — odzywa się mruczenie pełne zachwytu gdzieś z dołu.

A więc „zieziemy."

* *

Oto mam, zdaje się, wszystko dokoła siebie, co pociągało mię niegdyś — i co pociąga stale tysiące ludzi. Lecz chociaż widzę to po raz pierwszy, wydaje mi się, że znam to przecież jak niesmaczny oleodruk „widoku szwajcarskiego" — prócz tylko tych nowych, potężnych prądów powietrza. Temi poję się jak Arab spragniony, dopadający do oazy, ale muszę ochłonąć już niezadługo. Musiałem, naturalnie, zakreślić ciałem swojem szeroki zygzak po całej niemal Europie, lecz dusza moja tak mało podróżowała z tem ciałem, jak gdyby przed jej oczami migały tylko karty dawno znanego albumu. Mogłem za to wpatrywać się dowoli w trzy moje główki (bo i tę trzecią, największą — główką jeszcze nazwać można — mała jest, misterna, bladziuchna i znękana... czy zakwieci się jeszcze i zabarwi ta biedna główka moja?...).

— Nie lepiej ci było, zamiast wędrować po hotelach całej Europy i statkach transatlantyckich, schronić się do „naszego dworku," (którego jeszcze nie mamy) — i spocząć przy zapachu siana? Myślę, że za prędko zachciało ci się użyć „ogromnego" szczęścia i ogromnego morza?

Uśmiecha się z promiennem jakiemś zdziwieniem.

— O nie! zachciało mi się wspaniałego vestibul'u do naszego dworku. Za to sam dworek będzie już całkiem stylowy — „modrzewiowe ściany" — i mało co więcej...

Oczy jej rozpływają się i nikną w moich, zawsze złych i zawsze smutnych. Obok iskier zwykłego niepokoju spostrzegam w nich dużo pogody i szczęścia nawet. Pierwsze to widziane, stwierdzone przeze mnie, szczęście w bliskości mojej ślizga się bladym promieniem po mym smutku i łagodzi ponure tony jego.

— Ojcze! tu właśnie, tu „Nautilus" przepływał, kiedy widział całą flotę zatoniętą i tak uszykowaną, jak gdyby lada chwila miała wyruszyć ze swego podwodnego portu!... Odzywa się głos przyciszony i tajemniczy, a czyste spojrzenie błękitne przebija chciwie czyste błękity, okrywające nieszczęśliwą „flotę."

Różowe, pucołowate stworzenie, snujące się opodal, toczy się z niezmiernym pośpiechem przy tych słowach. Wspiąwszy się na paluszki, rozgląda się na wszystkie strony z miną doskonałego gapia i pyta skwapliwie:

— Dzie? cio? pokaż mi? cio?

Majestatyczno-pogardliwy wzrok spływa nań z góry. Odpowiedzi na takie pytania nie daje się wcale. Zmaltretowana gomułka nie ma jednak najmniejszego poczucia godności — i na widok dużego kosza z ognistym owocem, ukazującego się na pokładzie, woła z zachwytem:

— Manusiu! palmańci!

Drobne, chude ręce dźwigają spory ciężarek na ławkę, zanim zdążę im pomódz.

— Czemu i teraz nawet nie chciałaś wziąć nikogo do pomocy?

— Nie mogłabym znieść przy nich obcych rąk. I mnie, i ich pozbawiłoby to

no zmienić polską pisownię nazwiska na niemiecką. Ponieważ zaatakowany zaprotestował przeciwko tej niesłychanej bezczelności, więc sprawa ta pójdzie do wyższych instancyj i znowu może jaki pudelek wynajdzie zwycięzki kruczek prawny.

W tej ciągłej walce, w nieustannem odpieraniu napaści, społeczeństwo polskie nie zapomina o potrzebie walki z niemocą moralną. Przeciwdziałanie hazardowi karcianemu, o którym wspominaliśmy, nie pozostało chwilowym porywem „purystów.“ Towarzystwo antihazardowe stanęło już na mocnym gruncie i szerzy swoje wpływy. Oto jego kierownicy: dr. Jackowski (patron kółek włościańskich), Józef hr. Mielżyński, dr. Zygmunt Szułdrzyński (obywatel ziemski), Adam hr. Żółtowski, T. Chłapowski, ks. Mojzykiewicz, dr. Kapuściński i mecenas Sejda. Uznanie należy się tej walce zorganizowanej. Jest ona wszakże, niestety, potwierdzeniem przysłowia o mądrym Polaku po szkodzie. Jeszcze niedawno społeczeństwo przyglądało się obojętnie orgiom karcianym i zbydlęceniu karciarzy, którzy, szerząc próżniactwo, przegrywali olbrzymie fortuny, po to, ażeby zwiększyć szeregi wydrwigroszów i pieczeniarzy.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Dla dziatwy miejskiej.

Wydział wychowawczy Towarzystwa hygienicznego dał głos inż. Bańkiewiczowi w sprawie ogrodów dla dziatwy miejskiej. Referent wykazując, co gdzieindziej w tej mierze zrobiono, przygaiał Warszawie obojętność. Istotnie pod względem uposażenia w ogrody zajmuje ona bodaj ostatnie miejsce nietylko w stosunku do Europy. Mamy zaledwie pięć ogrodów, z których dwa w śródmieściu (Saski i Krasińskich), zawsze przepełnione, prawie wcale nie posiadają powietrza świeżego, a dziatwę zaledwie tolerują, jeden zaś, najpiękniejszy i najzdrowszy (Botaniczny), nie lubi nawet publiczności dorosłej, gdyż jest zupełnie zamknięty do późnej wiosny, następnie zaś wyprasza publiczność o tej godzinie (8 wieczorem), o której ona dopiero może szukać wytchnienia po całodziennej pracy. Ogrody warszawskie zatem służą przeważnie bądź dla flirtu i schadzek, bądź dla ozdoby miasta. Ci zaś, którzy pożądają wytchnienia i świeżego powietrza, tj. ludzie pracujący ciężko po całych dniach i dziatwa wątła, nie mająca środków na pobyt paromiesięczny po za murami miasta — nie mogą wcale korzystać z tych estetycznych udogodnień. Jedyny park Ujazdowski, ogród najmłodszy i pozbawiony cienia, nie odmawia gościnności dziatwie, ale tylko zamożniejszej. Jeżeli dodamy jeszcze, że niewielka liczba ogrodów prywatnych służy tylko dla ich właścicieli, że jakie takie zadrzewienia na wolnych placach po za frontami domów znikają coraz bardziej, że wszelkie przerwy na ulicach dalszych i place, ułatwiające dopływ powietrza, wypełniają się zwartym murem nowych kilkopiętrowych kamienic, że wreszcie na ulicach ludnych i ciasnych powstają fabryki, piekarnie parowe itd., a będziemy mieli obraz pierwszorzędnego miasta, stojącego najniżej w tym zakresie hygieny, który wymaga światła, ciszy i świeżego powietrza. Mamy pewien organ, zwany komitetem plantacyjnym, który pracuje tylko nad ozdobą ulic. Jakoż istotnie pod względem estetycznym podniósł on i uregulował kilka skwerów, na których dziatwa może przebywać, ale to jest dla niej taki pożytek, jak przebywanie na chodnikach ulic ruchliwych. Zajrzyjmy do którego kolwiek miasta za granicą a zobaczymy, że tam oprócz obfitości i rozległości ogrodów publicznych, prawie każdy dom posiada swój ogródek, przedmieścia zaś toną zupełnie w zieleni. Wielkie miasta Zachodu stworzyły nawet osobne parki gier letnich i zimowych dla dziatwy (np. Glasgow). Wreszcie daleko nie sięgając, przypomnijmy sobie Kraków, do którego przylega 17-morgowy park dr. Jordana. W innych miastach, dzięki dogodnej i taniej komunikacyi, publiczność nawet najuboższa, może wraz z dziećmi łatwo się wychylać na otwartą przestrzeń. W Warszawie jedyna droga, ułatwiająca przekroczenie rogatek miejskich, kolej Wilanowska, jest dostępna tylko dla ludzi zamożnych: należy bowiem do najdroższych arteryj komunikacyjnych. Wobec takich warunków jakże słabe są usiłowania Towarzystwa hygienicznego, które pragnie świeżego powietrza, słońca i zieleni dla dziatwy miejskiej! Najuboższa korzysta z pomocy Towarzystwa kolonij letnich; zamożna i dostatnia ma zapewniony wyjazd z rodzicami lub opiekunami na wieś. Ale w mieście pozostaje najliczniejsza rzesza, której rodzice stanowią pośredni stan społeczny między nędzą a dostatkiem. Położenie takiej dziatwy i całych rodzin jest najokropniejsze, bo to są tłumy niewolnicze, uwięzione na całe życie w murach miejskich.

Zapisy i ofiary.

W ostatnich paru tygodniach nasze instytucye społeczne i filantropijne wzbogaciły się kilku znacznymi zapisami i ofiarami. Wkrótce po obwieszczeniu hojnych ofiar Jankowskiej, spadkobierca bankiera Landaua i jego żony, zgodnie z życzeniem zmarłych rodziców, ofiarował 16,000 rb. na cele publiczne (na sanatoryum dla suchotników, kolonie letnie, kasę literacką, szkoły, zakłady dobroczynne itd.) Jednocześnie spadkobiercy fabrykanta łódzkiego, Markusa Silbersteina, poczynili na cele dobroczynne bardzo znaczne zapisy, wynoszące ogółem 166,000 rb. Przeważnie na wzniesienie i utrzymanie zakładu sierot wyznania mojżeszowego i wogóle na inne instytucye dla współwyznawców. Przeglądając te i inne, dawniejsze rubryki ofiar i zapisów ludzi zamożnych, dostrzegamy mnóstwo luk. Już kiedyś zwracaliśmy uwagę na to, że bogaci zapisodawcy nie znają potrzeb naszego społeczeństwa, że bądź zapisują na instytucye zasobne, bądź na cele jałowe i mało pożyteczne, lecz tworzące same przez się pomniki dla testatorów i ofiarodawców. Obecne świeże fakty stwierdzają nasze spostrzeżenia. Dowodzi to tylko, jak ci ludzie stoją zdaleka od społeczeństwa i jego rdzennych potrzeb, jak lekko pływają po srebrzystych wierzchołkach fali życia, nie zaglądając do jej głębi. W ciągu ostatnich kilku lat mieliśmy hojne zapisy kobiet. Otóż i tutaj spostrzegamy między innemi dość znaczne i charakterystyczne luki: brak chociażby skromnych ofiar na ogólne i fachowe kształcenie kobiet. A jednak ten dział potrzeb społecznych wymaga wielkiego zasiłku. Dotychczas kobiety nasze zdobywają wiedzę przebojem. Jeżeli ją traktują poważnie, to tylko z nadzwyczajnem napięciem sił, borykając się z niedostatkiem a nawet i nędzą. Prawie żadna szkoła żeń-

---

swobody. Przyzwyczaiłam się zresztą do tego.

Nazywa się to dziwactwem. Ale i ja przyzwyczaiłem się już do tego „dziwactwa“ — i nie mógłbym wyobrazić sobie trzech tych istot, rozdzielonych cieniem obcej postaci.

Hm... wszystko jak być powinno... seledyny majestatycznych fal.. błękitny „namiot“ niebios południowych... i „uskrzydlony łabędź“ (o prawdziwie niemiłym zresztą krzyku łabędzim), co się rozkosznie kołysze (rozkoszy kołysania nie uznaję, co prawda) — i co mię unosi w ameryk... nie, w kolumbijską dal, niechże wreszcie choć moje uznanie osiągnie wielki odkrywca tego lądu. Na jubileuszu piorunowano wprawdzie na krzywdę Kolumbową, ale imienia Ameryga nie starto ani z map, ani z mózgów ludzkich... Mam wszystko, co oczy i uszy pieścić powinno. Na szarem tle zbrużdżonych albo mdłych twarzy wykwita kilkanaście tak pięknych, jakie tylko w tej europejskiej mozaice narodowościowej spotkać się daje. Od bladych lilij Andaluzyi... może? albo kreolskich? ocienionych jedwabną koronką kruczych warkoczy, niby czarną mantyllą — aż do „centyfolij Albionu“ w jasnym kapturku północnym ze złotych kędziorów. Ciągną one wiele oczu — prócz moich.

— A! a... cóż to jest znowu?... witam cię, witam wierny mój, nierozłączny, niestety, przyjacielu! — odzywam się w duchu do mego szanownego serca, godnego bić zaprawdę pod wysokim stanikiem sentymentalnych Pamel i czułych Klorynd. Przypomina mi się tak energicznie, że miałbym ochotę zawołać:

— Bogdajbyś raz wreszcie pękło!

Bagatelka właściwie, na którą nikt tu nie zwrócił uwagi. Ale cóż robić, jeżeli mam oczy równie „bystre“ jak serce „czułe.“ Wcale wdzięczny zresztą obrazek rodzajowy: u stóp wielkiego masztu, na podłodze okrętowej — kilka modelowych południowców, okrytych jaskrawymi gałganami, lecz ciągnących oczy zapyloną czernią źrenic. To pirenejscy Cyganie?... czy może hiszpańscy biedacy?... Ojciec, drzemiący z węzłem pod głową, matka i troje dzieci. Jedno kołysze właśnie na ręku, drugie napiera się krzykliwie niezbyt obfitych zapasów z brudnego worka — trzecie najstarsze cicho, nieśmiało sięga samo po nie — i również cicho dostaje w bok kościstą pięścią.

— Jeszcze! ty obżartusie!

Odkrywam w sobie niepospolite zdolności lingwistyczne — szczególnie wobec takiej „praktyki.“

„Morze tak pysznie odnawia organizm, budzi apetyt wilczy!“

Pyszne działanie morza błyska z podsiniałych oczu „obżartusa“ — nie łzawych, lecz gniewnych, płomienistych. I oto budzi się we mnie „dobry pan“ z „dobrych“ książeczek, daje on „ubogiej mamusi“ ogromny pieniądz, stosunkowo do jego zamożności, a „głodnemu chłopczykowi“ ogromny kęs tego, co jedzą jego własne „grzeczne dziatki.“ Lecz dalej urywa się już wątek powiastki moralnej. „Dobremu panu“ — nie robi się nadspodziewanie „błogo“ po tak „pięknym uczynku.“ Wydaje mu się nagle, szaleńcowi, że ojcem jest — nie jednej tylko... ale milionów rodzin, których ochronić nie może od głodu i od pięści!... I oto z „majestatycznych seledynów falwyłania się i wzrasta aż pod ten „portyk błękitny niebios południowych“ — ta sama hydra dwugłowa grzechu i bólu z niezliczonemi ramionami, wyciągniętemi drapieżnie ku niemu... „Dobry pan“ — chory, i nic go już, nic nie uzdrowi. I pragnąłby on uciec od olbrzymiej rodziny swojej pod fal tych chłódne, jasne kryształy.

„Morire-dormire...“ Z jaką kojącą rozkoszą wymawiał te wyrazy czarowne wielki tragik włoski...

ska fachowa w kraju nie posiada ani stypendyów, ani innych środków, ułatwiających naukę. Żadna filantropka nie pomyślała o tem, żadna z nich nie przeznaczyła funduszow, ułatwiających zdobycie lub uzupełnienie wyższej wiedzy specyalnej po za granicami kraju. Zjawisko to niewątpliwie wypływa stąd, że nasze bogate testatorki wychowały się w cieplarni dewocyjno-konserwatywnej, więc nie widzą potrzeby w kształceniu kobiet, przeciwnie nawet uważają to za niepożądane.

Spółka włościańska.

Włościanie: Mateusz Perzon, Piotr Pajka, Piotr Kaczyński, Antoni Prusaczyk i Józef Jaworski w Dylowie (pow. Ostrołęcki) postanowili założyć spółkę, której zadaniem będzie: sprowadzanie narzędzi rolniczych i lepszych gatunków ziarna, skupowanie od włościan zboża i sprzedawanie go kupcom, nabywanie cukru w większych ilościach bezpośrednio w fabrykach, ażeby następnie odprzedawać go sklepikom wiejskim. Na początek inicyatorowie postanowili złożyć po 1,000 rb. Sam fakt jest pomyślnym objawem postępu w rozwoju ekonomicznym ludności włościańskiej. Jakkolwiek spółka ta jest prostem przedsiębiorstwem kilku zaradnych i obrotnych ludzi, to jednakże niektóre wyszczególnione jej cele świadczą, że wyrosła ona z istotnej potrzeby. Sprowadzanie narzędzi rolniczych i lepszych gatunków zboża każe się domyślać, że w danej okolicy włościanie postawili swoje gospodarstwa na poziomie, wymagającym narzędzi rolniczych i lepszych gatunków ziarna. Skupowanie od włościan zboża i sprzedawanie go kupcom jest niewątpliwie dążnością do wyzwolenia się z rąk spekulantów (odmiany lichwiarzy), skupujących zboże za bezcen od wytwórców w chwilach największej potrzeby. Zawiązanie bezpośrednich stosunków z cukrowniami dowodzi również chęci wyzwolenia się od przekupniów. Jeżeli wszakże spółka ta pozostanie w rękach zaledwie kilku jednostek zamożnych i obrotnych, będzie ona tylko nową formą pośrednictwa, może sumiennego, ale w każdym razie niezbyt taniego. Tylko w takim razie spółka ta może bardziej zadośćuczynić istotnym potrzebom ogółu włościan danej okolicy, jeżeli ich wszystkich, a przynajmniej większość, dopuści do udziału. Wtedy usunie się z pierwszego planu cel zysków handlowych, a natomiast wystąpi dążność do podniesienia kultury i dochodów gospodarstw chłopskich drogą usunięcia pośrednictwa w kupnie i sprzedaży. Dopóki tego nie będzie, możemy tylko podkreślić znamienny fakt wyzwalania się garstki włościan z zależności i bierności ekonomicznej. Niech tylko spółka nie pójdzie drogą pośredników - nabywców ziemi, bo wtedy będzie można zaznaczyć wcale niepocieszający fakt współzawodnictwa sprytniejszych włościan z aferzystami innego rodzaju, czerpiącymi obfite zyski z pracy chłopskiej.

Arnold Boecklin.

Sztuka płacze dziś nad mogiłą jednego z najwierniejszych kochanków swoich. Ukochał jej duszę, i tworzył zapatrzony w jej niezgłębione tajniki. Rozumiał, że choć z ziemi wyrosła, wzrok ma utkwiony w bezmierną dal. Każdy z obrazów Boecklina, obok realistycznego aż do subtelności traktowania szczegółów, ma w sobie jakiś pierwiastek wieczności. Nie tu miejsce w ulotnem wspomnieniu pośmiertnem, na dokładną charakterystykę wielkiego talentu twórczego; chciałbym tylko uwydatnić jedną ogólną, a najwybitniejszą jego cechę, że rzucił on wspaniały most tęczowy pomiędzy malarstwem i poezyą. Umarł w Bazylei dnia 6 czerwca r. b.

mb.

BADANIA NAUKOWE.

SZKICE ANTROPOLOGICZNE.

Nowa książka Andrew Langa i wywołana przez nią wrzawa. — Nowe twierdzenia. — Początek sobowtórów, krytyka teoryi snów i wprowadzenie zjawisk telepatycznych. — Fetyszyzm i medynizm. — Monoteizm dzikich i zwyrodnienie barbarzyńców w kierunku politeizmu. — Monoteizm ów powstał nie z kultu przodków. — Braki wywodów Langa.

Ostatnia książka znanego folklorzysty angielskiego, Andrew Langa, poświęcona rozbiorowi początków kultu i wogóle wierzeń religijnych u ludów dzikich i barbarzyńców, narobiła w świecie naukowym niezmiernie dużo wrzawy. W łamach specyalnego czasopisma ludoznawczego, *Folklore*, rozpoczęła się z tego powodu długa polemika pomiędzy tylko co wymienionym badaczem a drugim wybitnym znawcą przedmiotu, Sidney Hartlandem. Ze szpalt prasy naukowej przeszła ona na stronice czasopism ogólnych. I nie dziw. Praca Andrew Langa zawiera w sobie niezaprzeczone herezye przeciw panującym dotychczas poglądom na rozwój wierzeń, przyczem winniśmy z góry dodać, iż w zasadniczych punktach stajemy zupełnie po stronie jego zapatrywań, tem bardziej, że jeszcze w r. 1893, na szpaltach *Prawdy*, wypowiedzieliśmy najważniejsze zpośród nich, polegające na twierdzeniu, iż coś, przypominającego monoteizm, istnieje już u ludów N. Holandyi, tego najniżej stojącego szczepu chwili obecnej, i że ów pierwotny monoteizm z biegiem czasu, w miarę powstawania osiadłej kultury rolniczej, doznaje przekształcenia w kierunku wielobóstwa—„zwyradnia się,“ jak wyrzekł folklorzysta angielski. Jest to pierwsza herezya, popełniona przez A. Langa. Druga tkwi w tem, iż wprowadził on do nauki o początku wierzeń pierwiastek, na którym oparliśmy się, pisząc swoją „cerebracyę żywiołową,“ choć sam sposób wyzyskania tego materyału jest zgoła odmienny u nas i u folklorzysty angielskiego.

Para ostatnich prac Langa odznacza się silnym charakterem polemicznym. Jedna z nich, przeszłoroczna, zwrócona przeciw Maks Müllerowi, obecna zajmuje się głównie i nawet niemal jedynie krytyką poglądów B. Tylora, miejscami zresztą potrącające i animizm H. Spencera. Zarzuty dotyczą teoryi, poszukującej rodowodu sobowtórów, oraz rozwijania się, z takich postaci, dalszej formacyi: wyższych duchów.

Tylor przyjmuje, iż człowiek pierwotny, mając do czynienia z widziadłami sennemi podczas chwil bezwładności fizyologicznej, dochodzi z biegiem czasu do konieczności wytłomaczenia tych zjawisk. Naturalnie, niezaopatrzony w arsenał naszych wiadomości o naturze ludzkiej, będzie usiłował wyjaśnić je w sposób, właściwy swoim widnokręgom umysłowym. Będzie więc twierdził, że istota jego, prócz pospolitego ciała, zawiera w sobie jeszcze inne pierwiastki. Naprzód będzie to pierwiastek życia, odchodzący od człowieka, na pewien czas, w chwili czynności spania, na zawsze zaś w wypadku śmierci. Powtóre, będzie jeszcze istniało widmo, ukazujące się komuś podczas snów. Umysł dzikiego naszego przodka nie zawsze odróżnił należycie obie te rzeczy od siebie, lecz przeciwnie pomieszał je z sobą i stworzył pojęcie sobowtórów, jednoczących w sobie i pierwiastek życia i będących zarazem nosicielami owego widma. Sobowtór jest niczem innem, jeno naszą własną podobizną, tylko subtelniejszą i mniej materyalną. W połączeniu z ciałem stwarza codzienne życie na jawie; w rozłączeniu sprawia zjawiska bezwładności duchowej, a kiedy oddzielenie będzie trwałe, naówczas śmierć następuje.

Andrew Lang uznaje to tłomaczenie za niedostateczne i nawet zupełnie powątpiewa, ażeby sny zdołały były doprowadzić naszego dalekiego przodka do stworzenia teoryi sobowtórów i duchów, tj. takich dwojników, oddzielonych już na trwałe od ciała. Natomiast mniema, iż istniały inne objawy w naszej duchowości, daleko wpływowsze i bardziej przemawiające do wyobraźni. Są to pewne fakty, do przesytu powtarzane przez spirytystów, ale dotychczas pogardzane przez ludzi nauki. Jakkolwiek, zdaniem badacza angielskiego, wiele z tych zjawisk, tak lekceważonych, jest niezaprzeczenie rzetelnych. Przynajmniej sam Lang nie wątpi o ich autentyczności. Przytacza on przedewszystkiem objawy telepatyi, w jego przekonaniu zupełnie stwierdzone przez poszukiwania angielskiego Towarzystwa studyów-psychicznych, a polegające na tem, iż ktoś, znajdujący się niekiedy w bardzo znacznej odległości, może miewać halucynacye osób blizkich mu, zwłaszcza gdy są one w jakiemś niebezpieczeństwie lub umierają. Przytacza on bardzo wiele pokrewnych podań z dzieł podróżników i misyonarzów, które świadczą, iż wiara w podobne objawy jest rozpowszechnioną wśród ludów pierwotnych. Nie wyjaśniając pochodzenia takich halucynacyi, Lang poprzestaje na założeniu, iż zdarzają się i odtwarzają stany ukazującej się komuś osoby. Również przyjmuje on najzupełniej autentyczność obrazów, jakie pojawiają się przed wzrokiem niektórych osób, zapatrzonych w gładką powierzchnię szkła czarodziejskiego. Zresztą co do tego punktu, badania Janeta i paru innych usunęły wszelkie wątpliwości. Lecz kiedy psychologowie poprzestają na przyjęciu wiarogodności odpowiednich wrażeń, nie posuwając się dalej, badacz angielski przypuszcza, iż owe widziadła, które ukazują się, mogą odtwarzać rzeczywiste wypadki, zdarzające się w znacznej odległości, czyli, jak w pewnym ustępie dzieła swego powiada, posługując się terminem, używanym przez Zulów, mogą „otwierać wrota dalekie.“ Zatrzymuje się także nad konwulsyami, towarzyszącemi proroctwu. Wszystkie te stany duchowe, a więc opętanie prorockie i odgadywanie w nim rzeczy, dziejących się na odległości, i widma telepatyczne, najczęściej idące w parze z czyjąś śmiercią, i wzrok jasnowidzący na odległości, posługujący się i nawet nieposługujący się kryształami czarodziejskimi, muszą naprowadzać człowieka pierwotnego na pojęcie istnienia sobowtórów. To dwojnik oddziela się od czyjegoś ciała, ażeby ukazać się komuś, przebywającemu w pewnej odległości, i zanieść mu pewną nowinę. Ten sam sobowtór oddziela się od nas w pewnych przypadkach, ażeby powziąć wiadomość o czemś. Teorya ta lub inna tłomaczenia tych objawów może być zupełnie nieprawdziwa, ale umysłowi pierwotnemu dostarcza pożądanego wyjaśnienia dla faktów, niepodlegających wątpliwości. Zresztą Lang idzie jeszcze dalej. Mianowicie przypuszcza on, że organizm ludzki, przynajmniej u niektórych osób, posiada zdolność poruszania przedmiotów na odległości, nie dotykając się ich bezpośrednio. I znowu przytacza opisy podróżników, opowiadające o takim samodzielnym ruchu rzeczy martwych podczas posiedzeń szamańskich i fetyszerskich. Dochodzi więc na podstawie tego do wniosku, iż podobne objawy mogły dać początek użyciu fetyszów i przypisaniu im różnych rzadkich własności.

Jak widzimy, Lang oparł się na faktach, względem których większość uczonych za-

-chowywa się bardzo nieprzyjaźnie, chociaż liczba rzeczników ich wiarogodności wzrasta, tak iż w gronie tych obrońców znajdujemy parę nazwisk pierwszorzędnej sławy. Zresztą jest to część wywodów A. Langa, która doznała najmniej zarzutów: powołując się na takie zjawiska, folklorzysta angielski pozostaje wolny od wszelkich nienaukowych majaczeń i przedewszystkiem ogranicza się zaznaczaniem, iż podobne zjawiska zdarzają się w życiu człowieka pierwotnego, mniejsza czy są autentyczne lub nie, i naturalnie nie mogą nie wywrzeć odpowiedniego wpływu. Że sam jest przekonany o ich autentyczności, jest to szczegół podrzędny, który, nawet nieobecny, nie zaważyłby na rozumowaniu zasadniczem. Natomiast inne twierdzenie Langa wywołało burzę, mianowicie to, iż ludy pierwotne, takie jak mieszkańcy lądu australskiego, lub Ziemi Ognistej, wreszcie myśliwskie plemiona Ameryki, są bliższe monoteizmu, aniżeli grupy rolników, bardziej posunięte w kulturze. Wraz z tem twierdzeniem zwraca się on przeciw przypuszczeniom Tylora i Spencera, którzy usiłują dowieść, że punktem wyjścia dla wyższych duchów był właśnie kult sobowtórów: w miarę tego jak rozwój rożniczkował więź społeczną i stwarzał w niej wodzów, w świecie duchów osób zmarłych powstawały hierarchie.

Przyjrzyjmy się argumentacyi i wogóle biegowi rozumowania Andrew Langa.

Jego zdaniem, antropologia dotychczasowa uprościła zadanie i przedewszystkiem bardzo niesumiennie obeszła się z faktami. Książka, zwłaszcza Herberta Spencera, przedstawia kompletne pogwałcenie materyału w tem znaczeniu, iż filozof ten bez żadnego skrupułu odrzuca dane, niepasujące do jego kramika teoretycznego. Tymczasem wobec studyów Howitta i innych niepodobna wątpić dłużej, iż tacy Australczycy posiadają wyrobione pojęcie o pewnej istocie, której udzielają nazw „naszego ojca," „naszego stwórcy," „wszechmocnego i wszechwiedzącego," oraz iż takie wierzenia spotykamy także u Fuegieńczyków i wielu innych ludów. Pojęcia te nie mogły w żaden sposób rozwinąć się z wiary w sobowtórów, ponieważ ta ostatnia jest tam jeszcze słaba, więź społeczna zaś nie zna zróżniczkowanych stanów ani wyodrębnionej władzy wodzów. „Istota ta — powiada badacz angielski — nie może być odbiciem władzy królewskiej, bo tam nie ma jeszcze królów, również nie jest rodzajem prezydenta, wybranego spośród gromady politeistycznej bogów, ponieważ tam politeizm jeszcze nie rozwinął się, nie jest także idealnym przodkiem, gdyż kult przodków na tym szczeblu jest jeszcze nieobecny." Nadto — znowu inny szczegół, przeczący dotychczasowym zapatrywaniom nauki — owa istota jest opiekunem moralności, zwłaszcza rzecznikiem miłości wzajemnej i tępicielem samolubstwa indywidualnego, oraz nie wymaga żadnych ofiar, lecz tylko czystego serca i czystego postępowania.

Wywody A. Langa niewątpliwie opierają się na faktach, dotychczas ignorowanych przez odpowiednią gałąź wiedzy antropologicznej. Ale swoją drogą oświetlenie przedmiotu jest nieco niewłaściwe. Puszcza on w niepamięć tę okoliczność, iż owa istota, jakeśmy to swego czasu pisali, jest tylko znaną organizacyi dorosłych mężczyzn i ukrywana troskliwie przed kobietami, iż w dalszym ciągu nie wyrosła po za swoje plemię i odznacza się niezmierną wyłącznością i prawdopodobnie zazdrością w stosunku do innych plemion. Są to punkty bardzo doniosłe, odrazu nadające przedmiotowi inne oświetlenie. Wreszcie nie zwraca on należytej uwagi, iż obok tego niewątpliwie bardzo głębokiego pierwiastku istnieją cząstki dziecinne, przypisujące owej istocie plemiennej nieraz kształty zwierzęce, oraz czyny ziemskie, ludzkie, innemi słowy, iż jest to monoteizm bardzo nieokrzesany i niedołężny. Jeszcze mniej zadawalająca jest analiza, dlaczego u ludów, znajdujących się na wyższym szczeblu rozwoju, te zarodki głębszej myśli giną, ustępując miejsca kultowi przodków i politeizmowi. Co do nas, przypisujemy tę zmianę przekształceniu się warunków społecznych. Społeczeństwo australskie, złożone zaledwie z kilku tysięcy członków, nieprzymocowane do pewnego punktu warunkami bytu, od czasu do czasu zbiera się na obchody wtajemniczenia młodzieży lub inne. Sprzyja to niezmiernie ujednostajnieniu wierzeń i zapatrywań. Przeciwnie, społeczeństwo barbarzyńskie jest rozstrzelone: człowiek, przywiązany przez rolnictwo do różnych punktów terytoryum plemiennego, nie może opuszczać ich, zbory ogólno-plemienne ustają, zwłaszcza kiedy społeczeństwo rozrośnie się. Każda okolica naówczas rozwija się samodzielnie, powstaje różniczkowanie wraz z wielobóstwem. Następnie, osiadły tryb życia stwarza bliskość mogił od domu, zmarli są nieraz chowani w samej chacie, objaty im znoszone stają się systematyczniejszemi. Pojawia się cześć dziadów i wypiera inne formy kultu. Tłomaczenie badacza angielskiego opiera się na innych przesłankach, prawdziwych, ale niewyczerpujących kwestyi. Jego zdaniem, istota jedyna Australczyków jest kategoryą bardzo niepraktyczną: wprawdzie nie wymaga od ludzi żadnych ofiar, lecz tylko dobrego postępowania, ale za to i nie udziela im pomocy w sprawach codziennych, szczególnie posiadających niecny charakter. Tymczasem dziady domowe, otrzymujące objaty i potrzebujące ich, w zamian za składane ofiary gotowe są pomódz swemu potomkowi w każdym czynie, nawet najnieuczciwszym, byleby idącym na pożytek rodziny. „Jednakowy ojciec wszystkich ludzi nie może być pozyskany, ani nie jest gotów sprzyjać jednemu bardziej, innemu mniej. Dla tych tak prostych i zrozumiałych powodów, jeśli wiara w Daramuluna pojawiła się pierwsza, jeśli po niej dopiero nastąpiła wiara w praktyczne i skłonne do ustępstw bogi domowe, to cześć tych ostatnich musiała zalać kult Ojca. Nazwa jego pozostanie jedynie przeżytkiem, ofiary i modły będą zwrócone do dziadów." Na tem właśnie polega owo „zwyrodnienie."

Tak mniej więcej przedstawiają się wywody folklorzysty angielskiego. Słabą ich stronę stanowi brak wyjaśnienia, jakim sposobem człowiek pierwotny doszedł do pojęć, które zanikają na szczeblu barbarzyńskim. W samem dziele nie spotykamy co do tego punktu żadnego tłomaczenia, które pojawia się dopiero w toku polemiki, wywołanej przez książkę. I w tym rozbiorze Lang trzyma się naukowego traktowania kwestyi, chociaż nie uwzględniając znaczenia organizacyi męzkiej, nie dochodzi do pożądanego rezultatu. Przynajmniej takiem jest nasze zdanie. Nadto winniśmy jeszcze i to zaznaczyć, iż z naszych studyów nad tym przedmiotem wynieśliśmy wrażenie, że „Ojcowie" australscy są głównie nadprzyrodzonymi prawodawcami społeczeństwa ludzkiego i że charakter kosmiczny, „stwórców," jest tam mniej wyraźny. Lang zaś kładzie przeważnie nacisk na stronę kosmiczną. Jeszcze jeden szczegół. Książka jest napisana raczej po literacku, „sportmanshke," jak odzywa się Hartland, twierdzenia są wypowiedziane nieraz w sposób nieścisły, co musiało zwiększyć polemikę, w której Lang odstąpił częściowo od swoich drugorzędnych założeń, a raczej nadał im formę ściślejszą. W każdym razie praca należy do tych, które przyczynią się dodatnio do dalszego postępu mitologii, zapobiegając rutynie i upartym uprzedzeniom.

L. K.

LITERATURA I SZTUKA.

UTWORY POWIEŚCIOWE TETMAJERA

Kazimierz Przerwa-Tetmajer: *Anioł śmierci*, romans. Tom I, str. 296; t. II, str. 235.— *Melancholia*, str. 246. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp., 1899.

(Dokończenie).

Nie wszystkie utwory Tetmajera, zawarte w świeżo wydanym zbiorze p. t. „Melancholia," są utworami powieściowymi. Na książkę tę bowiem, oprócz zajmujących lwią jej część nowel lub szkiców do nich, złożyło się kilkanaście króciutkich wrażeń poetyckich czy poezyj prozą — rodzaj, znany u nas dobrze od czasu „Listopada" Andrzeja Niemojewskiego — które zaliczylibyśmy do liryki; dalej trzy barwne listy z podróży i wreszcie dwie znane już dawniej fantazye dramatyczne („Stinks" i „Wizya okrętu").

Jeżeli dziwnem i śmiesznem nawet wydaje nam się utożsamianie głównego bohatera „Anioła śmierci" z osobą autora romansu, to natomiast w tym nowym zbiorze, pełnym, istotnie, przejmującej tęsknoty i melancholii, mamy już prawo i obowiązek doszukiwać się duszy poety, dzielącego się z nami bezpośrednio własnemi wrażeniami i uczuciami. Sam autor zresztą w liście „Z pod Żelaznych wrót i Żelaznej bramy" daje nam klucz do zrozumienia swych stanów psychicznych — w tem plastycznem, a powtórzonem dwukrotnie, porównaniu siebie samego do szczupaka, „któremu oścień w grzbiet wbity z drzewca się ułamie: rzuca on się wówczas z żelazem w sobie, to na środek stawu, to na brzeg podpływa, aż go gdzieś wreszcie licho weźmie." Lecz — kończy poeta — dopóki licho nie weźmie, wszędzie jest równie smutno i samotnie."

To uczucie samotności i opuszczenia nigdzie może u Tetmajera nie występuje z taką szczerością i siłą, jak w krótkim urywku „Na Wezuwiuszu." Poeta, spoglądając o zachodzie słońca ze szczytu wulkanu na jeden z najpiękniejszych widoków na świecie, rzuca przed oczy nasze kilka obrazów, pełnych barw świetnych, jakby ręką malarza nakładanych. Gdzieś daleko na morzu bieleją żagle zajętych łowem korali małych okrętów rybackich, „podobnych do nenufarów, kwitnących na jeziorze"; bliżej — Neapol, od zachodzącego słońca różowy: nad Sorrentem i zatoką morską srebrzy się śniegiem góra Świętego Anioła, „a hen od niej biegną olbrzymim kręgiem fioletowo-niebieskie i różowo-pozłociste kopy gór włoskich, podobne do rozkołysanych fal oceanu." Cisza dokoła, tylko Wezuwiusz od czasu do czasu z hukiem i trzaskiem wyrzuca w strop słupy czerwonej ławy i rozsypuje ją w powietrzu, „że podobną się stawała do ogromnego stada płomiennych ptaków, które z szumem chmurą spadały na zbocze krateru, lśniąc jeszcze długo na ziemi, złowrogo, strasznie i jakby całej naturze przeciwnie." A w ciszy, która po takim wybuchu nastąpiła, poeta uprzytamnia sobie, że oto jest sam, daleko od domu, który już zresztą nie jest jego domem, i naprzód uczuwa smutek, że nie ma przy sobie nikogo, komuby mógł powiedzieć: „Patrz!" — a potem przypomina sobie, że mu nie brakuje nikogo, bo nikogo nigdzie już nie ma...

Jest to drobiazg, odbicie może wrażenia chwilowego, do którego sam autor nie przywiązuje zapewne większej wagi, jak i do innych dwudziesto lub trzydziestowierszowych utworów o nastroju podobnym („Nad potokiem," „Żórawie" i in.); a jednak urywek ten — sam nie wiem,

dlaczego — silniej przemawia do mej wyobraźni i, według mnie, lepiej maluje istotny stan duszy poety w pewnej chwili życia, odzwierciedla żywiej ten głęboki smutek jego serca, niż wszystkie wezwania nicości i hymny do Nirwany z drugiej seryi jego „Poezyj.“ I dlatego właśnie mam szczery żal do autora, że mi przy końcu popsuł trochę wrażenie jednym nieszczęśliwym zwrotem („nie braknie mi *nikt*,“ str. 11), który w żaden sposób nie może uchodzić za poprawny.

Wspomnieliśmy o Nirwanie. Jest jeden utwór w „Melancholii“ („Do śmierci“), zapowiadający coś jakby zwrot poety w jego dotychczasowym stosunku do upragnionej rzekomo nicości. Jeżeli kiedyś malował on życie w postaci strasznej upiorzycy, „z piekielnych kędyś wyzioniętej wrót,“ o trędowatych, trupio-żółtych licach i oczach żarłocznych, jak sęp, „którego nigdy i nic nie nasyca,“ to dziś, przeciwnie, śmierć raczej wydaje mu się jakimś strasznym, kościanym potworem, siadającym na jego łóżku, w przegniłym, cuchnącym całunie. Poeta widzi ją, wie, że od niego samego zależy, aby ten potwór złowrogi z chrzęstem szkieletu przysunął się ku niemu i spuścił na jego oczy ów całun wstrętny, cuchnący, ale nie może się zdobyć na „jedną chwilę decyzyi,“ uczuwa żal za życiem. „Przyjdziesz—powiada do śmierci— a tam — tam — zostanie życie... Tam zostanie słońce, zostanie rozkosz, zostaną kwiaty i morza błękitne, i góry w śniegach, i lasy, gdzie wiatr szumi w konarach i gdzie sarny, po liściach biegnąc, szeleszczą; zostaną jeziora ciche i rzeki, w których się o zmroku cień wiklin nadbrzeżnych odbija: zostanie miłość, zostanie piękność, zostaną idee o orlich skrzydłach, zostanie wszystko, wszystko, co się nazywa życiem, ten cud, który się życiem zwie, ten raj, ta boskość wrażeń...“

I po tym dopiero wybuchu bezgranicznej tęsknoty do życia, poeta uświadamia sobie w całej pełni, że śmierć jest czemś strasznem i ohydnem, i tylko zrozumieć nie może, dlaczego ta wstrętna mara kościana jest taka piękna, gdy wabi, a taka okropna, gdy się przybycia jej wzywa.

Z innych poezyj prozą Tetmajera pragnąłbym jeszcze zwrócić uwagę na dwa pierwsze urywki w tym zbiorze („Wspomnienie,“ „Sąd“). W każdym z nich w kilkunastu wierszach zawarł poeta myśl świeżą i niebanalną. Ładna jest również „Miłość,“ chociaż w pomyśle przypomina nieco jeden krótki wiersz któregoś z poetów francuskich, Richepin'a, jeżeli się nie mylę, z tą różnicą, że tam była mowa o miłości macierzyńskiej, tu — o miłości kochanka. W apostrofie „Do kobiety“ niektóre porównania i obrazy, wzorowane na „Pieśni nad pieśniami,“ wydają się trochę sztucznemi, a zakończenie utworu wywiera wrażenie podnoszenia pojedynczego wypadku do wysokości reguły czy zasady ogólnej.

Przejdźmy do nowel. Dwie z nich, „Ku niebu“ i „Ksiądz Piotr,“ każda w innym rodzaju, są dla mnie poprostu prześliczne. Motywy w obu nie należą do nowych, lecz ich robota, lecz sposób ujęcia przedmiotu, lecz siła intuicyi i plastyki — pozwalają nam postawić te dwa niedługie obrazki w jednym szeregu z utworami w tym rodzaju Sienkiewicza, Konopnickiej, Żeromskiego, a tem samem zaliczyć je do prawdziwych pereł nowelistyki polskiej.

Najtrudniejsza do osiągnięcia i najsilniej przemawiająca do wrażliwości czytelnika prostota artystyczna cechuje zwłaszcza tę smutną, jak noc jesienna, wzruszającą podróż Hanki „ku niebu.“ Szła po Skupniowym Upłazie, a wiatr taki dął, że się zdawało, iż ją zrzuci do doliny... „Naokół była pustka wszędy okrutna i szum taki gnał przez góry od wiatru, że aż lęk piersi ściskał, bo się zdawało, że całe Tatry jęczą. A Hanka szła przed siebie.“

„Żeby ją kto był spotkał, pewnieby jej się pytał: a po cóż ty tam idziesz, dziewczyno, w te góry i w tę pustkę, w ten szum? Tam już nie mieszka nikt, tylko strach na ciebie warknie, śmierć ku tobie zęby wyszczerzy, a niemoc cię obali i — po tobie. Kto też idzie w góry ku końcu jesieni? Albo się wróć, albo się już nigdy nie wrócisz. Nie zobaczysz ty już więcej zielonej trawy, ani jasnego owsa, tylko idź dalej. Wiatr cię zamrozi, kurniawa cię zasypie, orłowie i jastrzębie ciało twoje młode po wirchach rozniosą. Po cóż ty tam idziesz, dziewczyno?“

A Hanka, naturalnie, ucieka w góry przed swojem nieszczęściem, przed swoją hańbą. Idzie przed siebie, aby iść, aby dalej od ludzi; bo oto „zła chwila się zbliżyła, i nawet kryć się już było dłużej trudno...“ Odwieczna tragedya miłości, odtworzona raz jeszcze z uczuciem i siłą.

Hanka pokutowała strasznie „za tę miłość serdeczną, za to ukochanie bez pamięci, za tę słodkość niezmierną, co jak miód tęgi piła.“ Nie było dla niej miejsca na świecie, ani pocieszenia, więc zarzuciła chustkę na siebie i poszła. Idzie ku górom, sama nie wiedząc, dokąd i po co, idzie dobrze znanemi miejscami i mimowoli wspomina przeszłość niedawną. „Miły, mocny Boże, jak jej tu bywało dobrze! Co się tu człowiek uweselił, co się naśmiał! Pasał tu Wojtek i tu się zalubili na Hanczyne nieszczęście.“

Prześliczne są te wspomnienia miłości, teraz jeszcze, w takiem nieszczęściu, napełniające duszę dziewczyny błogością dziwną, to znów kłujące ją w sercu, jak nożem. Prześliczna jest zwłaszcza scena z Matką Boską, ukazującą się Hance w widzeniu przedśmiertnem, wzruszającem ogromnie, chociaż prostem, jak pierwotne umysły podhalan.

— Pani, siadłabyk se—odzywa się Hanka do cudownego zjawiska, prowadzącego ją zwolna ku Liliowemu.

— No to se siednij — odpowiedział głos ze światłości.

Więc Hanka usiadła pod dużym kamieniem i, oparłszy się oń plecami, wyciągnęła zbolałe nogi przed siebie. Ale wówczas światłość poczęła jakby mdleć, roztapiać się, niknąć... I znowu naokoło nie było nic, tylko góry i urwiska, i śnieg biały, smutny i głuchy...“

Nowela ta szczegółami pewnymi przypomina wstrząsającą „Krystę“ Konopnickiej, tylko że w utworze znakomitej poetki napięcie dramatyczne jest jeszcze znacznie silniejsze, co wypływa tam zresztą z sytuacyi samej. Jest też może w obrazku Tetmajera coś z Sienkiewiczowskiego *Lux in tenebris lucet.* Lecz po za tem autor włożył w swój utwór niemało indywidualnego odczucia groźnej przyrody tatrzańskiej i wykazał zarazem dużą znajomość ludu podhalańskiego, której wymowny dowód złożył był już między innemi w swym wzruszającym „Liście Hanusi.“

„Ksiądz Piotr“ jest doskonałą sylwetką starego kanonika Załańskiego z Kłonic, który, jak sam powiada, urodził się na księdza, jak jego dziewka Wikta, co korzec ziemniaków bierze na plecy, na baletnicę. „Byłem młody, przystojny, ho! ho! niebiedny, a do tego żywy, lekkomyślny, pusty, ot szlachcic polski i do tego kawalerzysta. Alem poznał, kochanku, w czemeśmy zawinili. Ja, kiedy mi mój luzak, Sobek, chłopak z Załan, szabli nie dopolerował albo butów na czas nie przyniósł, buch go w pysk! Mój ojciec, mój dziad, mój pradziad, wszyscy Załańscy za takie same i podobne rzeczy swoich Sobków buch w pysk! Dlatego mi mój chłopak przed pierwszą bitwą uciekł, dlatego w czterdziestym szóstym mego brata stryjecznego, Stanisława, jego własny lokaj za nogę z konia ściągnął, a potem go chłopi tak zsiekli, że go poznać nie można było. Ja poszedłem robić ekspiacyę za siebie i za innych Załańskich, poszedłem, kochanku, służyć tym, względem których czułem się winny...“

Mnóstwo drobnych, wybornie pochwyconych rysów, składa się tu na typową, nierzadką jeszcze przed kilkunastu laty sylwetkę księdza-wojaka, który za młodu w mundurze ułańskim po świecie wędrował, a potem, przywdziawszy sutannę, rozpoczął służbę bożą i pełnił ją wiernie przez kilka dziesiątków lat, lecz do końca żywo przechował w duszy wspomnienia gorącej młodości i do trumny nawet, obok krzyża, kazał organiście, w tajemnicy przed nabożnym teologiem, księdzem wikarym, położyć swą szablę ułańską...

„Ubierzesz mnie w nową sutannę — komenderuje przed śmiercią, jak przed frontem — tę na jedwabnej podszewce; pasem jedwabnym przewiążesz, szpilką złotą z Korabiem przepiąć, buty nowe wyglansować, łańcuch kanoniczy na szyję, ordery moje wojskowe na pierś. Sygnet zostawić na palcu, niech idzie ze mną... Obsypiesz mnie kwiatami; dużo macierzanki, bo pachnie, narcyzy w głowach. I szablę moją, mości Dzięgielewski, złamać, bo jestem z rodu ostatni... Albo wiesz co, panie Dzięgielewski, szabli łamać szkoda, ale mi ją cicho, żeby ksiądz wikary nie widział, pod sutannę w fałdy włożysz. W rękach krzyż, nibym ja tylko ksiądz, ale tam, pod bokiem, szabla... Czujesz, jak z mego ogrodu pachnie, panie organisto?..“

Podobnych sylwetek mamy już w literaturze kilka, ale ta, którą nakreślił Tetmajer należy niewątpliwie do najlepszych. A przytem, obok żywej w każdym szczególe postaci księdza samego, co za plastyka w figurach drugorzędnych! Chociażby np. w malutkiej figurce Ignasia Znajdy, który ze staruszkiem kanonikiem prowadzi takie filozoficzne rozprawy i dopytuje się ciekawie, czy „wielgi je Pombók,“ a potem, przypomniawszy sobie o imperatywie zewnętrznym, który go wysłał, zmienia z punktu przedmiot rozmowy:

— Pani gospodyni kozeli pedzieć i prosi, coby jegomość śli.

— Dobrze, dobrze, chodźmy.

— No, to podźcie. Dojcie renke. Pomalućku, boście starzy.“

Inne nowele — to, z wyjątkiem dramatycznego obrazka ludowego p. t. „Dzwonek topielców,“ same szkice z życia marzycieli-artystów i literatów, życia, pełnego nędz wszelakich i ciężkiej walki o byt, w pogoni za nieuchwytną gwiazdą ideału. W jednej z nich („Rzeźbiarz Merten“) utalentowany artysta w łeb sobie strzela, nie mogąc patrzeć na nędzę swych rodziców. W drugiej („Ze wspomnień malarza“) zdolny malarz-pejzażysta, umierając z suchot i nędzy, pragnie już tylko, aby chociaż po śmierci położyli mu świeżą pościel na łóżko i aby ciało jego, przywiązane do deski, puścili potem w stronach ojczystych „na to nasze wielkie jezioro“ — i pozwolili mu pływać po niem — w czystej koszuli. W innym znowu szkicu („Pan“), nagrodzonym niedawno na konkursie *Życia* krakowskiego, utalentowany i ceniony wielce przez redakcyę „Bylebyła“ nowelista zarywa ze smutnej konieczności biednego chłopa i po całodziennej pogoni po polach za tematem do zamówionej noweli, nie ma grosza w kieszeni na kupno paru bułek i serdelków...

Jeden tylko przedstawiciel tej literacko-artystycznej drużyny „nie zmarnował życia.“ Autor ukazuje nam tego zasłużonego pracownika („Laureat“) w chwili upojenia własną wielkością, po wspaniałej uczcie jubileuszowej, na którą zgromadził się naród cały w osobie swych reprezentantów, aby mu powiedzieć: jesteś zasłużony, jesteś wielki. Aż wtem, pod wpływem nagłej katastrofy, przed oczyma laureata otworzyły się niespodziewanie i, niestety, za późno, nowe zupełnie widnokręgi.

Tak jest, natura dała mu talent niezwykły, może geniusz; Bóg wie, co mógł zrobić, a zrobił — cóż? Wstrząsnął nerwy kilku, może kilkunastu tysiącom ludzi. A te miliony, te ogromne miliony? One z jego pracy, raczej z darów, które mu dała natura, nie miały nic. Ze światłem swego mózgu, z swoją myślą i ze swojem słowem nie szedł tam nigdy na dół, do sutoren...

Pod jego nogami, tam, na dole, działo się coś, ale on tego widzieć nie mógł; był na to za dostojny, zanadto honorowany, za wielki. Naprawdę tak jest, tworzył dla tych, którzy go podejmowali szampanem i sadzali na pierwszem miejscu; pisał przedewszystkiem dla wielkich panów i bogatych dorobkiewiczów... Tak jest, tak jest, nieraz myśli, które mu przychodziły do głowy, odpędzał; karty, które mu się same napisały, w kosz wrzucał, aby się sferze, w której żył, nie narazić... Był apostołem, tak, ale swej własnej korzyści..."

Ten sześciostronicowy szkic jest rzeczywiście głęboki i ma zupełne prawo stanąć w jednym rzędzie z „Księdzem Piotrem" i „Ku niebu," chociaż jest od nich znowu całkiem odmienny.

Władysław Bukowiński.

LITERATURA NIEMIECKA.

Otton Berdrow: *Frauenbilder* (Portrety kobiece) Sztutgart (Greiner i Pfeiffert). 1898.

Skwapliwie i z prawdziwą przyjemnością czytałem tę piękną książkę, którą w pierwszej chwili trudno nawet przypisać autorowi niemieckiemu. Zamiast zwykłej, niemieckiej ociężałości, spotykamy tu rażne i trafne przedstawienie, zamiast zbioru szczegółów i szczególików, uwydatnienie charakterystycznych cech jednostki. Autor połączył w zastęp dwanaście kobiet, których nazwiska wiążą się z imionami największych poetów niemieckich z końca osiemnastego i pierwszej połowy dziewiętnastego wieku. Połączenie takie jest przygodnem, do grona weszły tylko niewiasty, posiadające w sobie coś poetyckiego, jakiś smutki, grające w nich bezustannie, dobroć płynącą z ich duszy, jak światło z gwiazd, albo porywy wewnętrzne, które wzbierały ciągle, jak fale morza.

Dzieło ma także znaczenie naukowe. Ilekroć usiłujemy — mówi Berdrow — przedstawić sobie obraz życia i utworów jakiegoś wielkiego poety, występuje na pierwszy plan pytanie: Gdzie jest kobieta? Kto nie wie o losach matki Lenaua, ani o stosunku jej syna do Zofii Löwenthalówej, ten mógłby wziąć nieustanną jego melancholię za igranie motywami Byronowskimi. Nie można osądzić słusznie Grillparzera jako człowieka i poetę, nie znając jego stosunku do Kasi Fröhlichówny. Dopiero u boku swej szlachetnej żony, w zaciszu szczęśliwego pożycia ukazuje się w całej krasie Ludwik Uhland. A czy nie zbliża się do naszych serc wielkość Wilhelma Humboldta, gdy patrzymy na niego jako na współczującego, oddanego przyjaciela Karoliny Diede?

Również dla psychologa duszy kobiecej książka ta stanowi zajmujący przyczynek. Można powiedzieć, że w tych postaciach skrystalizowała się najlepsza część kobiet niemieckich z pierwszej połowy naszego wieku Niestety, większości z nich było źle. W całej dwunastce znajdujemy tylko jedną sielankę, a niewiele pogody. Życie, zamiast wypielęgnować i otulić te kwiaty, zmiażdżyło większość ich bezmyślnie i nielitościwie, jak ów indyjski wóz Dżagiernaut, co przewala się swym ciężarem z jednaką obojętnością przez wieńce róż, przez białe lica zrozpaczonych dziewic i przez ciała plugawych fakirów.

Najdawniejszą z dwunastu jest żona Lessinga, z pierwszego małżeństwa Königowa. Bawiąc w Hamburgu, poeta zaprzyjaźnił się z jej mężem, kupcem towarów jedwabnych. Gdy ten w r. 1769 wyjeżdżał w swych sprawach do Włoch, polecił rodzinę opiece przyjaciela. Zmarł wkrótce w Wenecyi, a Lessing, który już przedtem miał wiele życzliwości dla Ewy, zbliżywszy się do niej z obowiązku opiekuna, pokochał ją szczerze. Lecz nim połączyli się, minęły lata.

Ewa, aby zapewnić byt swoim dzieciom, musiała przedsięwziąć kilka długich podróży, na które zeszło sześć lat. Dopięła jednak swego. Lessing tymczasem otrzymał miejsce bibliotekarza w Wolfenbüttel. Pobrali się w r. 1776. Rok 1777 był najszczęśliwszym w życiu autora „Minny z Barnhelm." Znikło rozgoryczenie i zgryźliwość, obudził się w nim znowu zapał, powstały pomysły nowych dzieł.

Słynny później historyk niemiecki, Ludwik Spittler, pracujący wówczas w Wolfenbüttel, tak pisał o Ewie do jednego z przyjaciół:

„Jeśli można znaleźć u kogo więcej miłości dla ludzi, więcej szczerej życzliwości, niż u Lessinga, to tylko u jego żony. Takiej kobiety nie spodziewałem się nigdy poznać. Ta niewystudyowana dobroć serca, ta pełnia boskiego spokoju, który udziela się wszystkim, co mają szczęście spotykać się z nią, jakże czarującą czynią panią Lessingową. Przykład tej wielkiej, jedynej niewiasty podniósł nieskończenie moje pojęcie o jej płci."

Lecz nieszczęście czyha na człowieka. Przy końcu r. 1777 Ewa powiła syna, ku wielkiej radości męża. Radość trwała krótko, choroba była ciężka, dziecko zmarło w dwadzieścia cztery godziny: po dziesięciu dniach zgasła matka.

Życie Lessinga było odtąd powolnem więdnięciem. Smutek i tęsknota podrywają go niestrudzenie. Piętnastego lutego 1781 r. poeta przestał żyć.

Tragiczność ma tu charakter fatalistyczny. Z tak wielkim trudem zadzierzgniętą nić szczęścia zrywają jakieś wrogie losy. W dziejach następnej kobiety, Karoliny Diede, do której były pisane słynne listy Wilhelma Humboldta p. t. „Briefe an eine Freundin" (Listy do przyjaciółki), grają większą rolę czynniki społeczne.

Częsta historya niedobrania się... Dziewczę o duszy subtelnej, pełnej polotów, związane z człowiekiem pospolitym. W niej była „pewna wewnętrzność usposobienia, występująca od wczesnych lat, uczciwość przekraczająca średnią miarę, przenoszenie się w krainy ułudy"; on—hulaka i prostak. Więc od zamęźcia zaczyna się jej „złe szczęście." Cierpi, wyrywa się z więzów, jak ryba z sieci, szuka całe lata pokrewnej duszy i wciąż spotyka zawody.

Tymczasem starość nadciąga zwolna. Liczy już czterdzieści lat i skupia ostatnie siły ducha, aby zapanować nad smutkiem. Uboga, bo ojciec zerwał z nią dlatego, że opuściła męża, zarabia igłą na życie. Pokrzepiają ją tylko listy od siostry.

Wtedy odnajduje w swym pamiętniku dziewczęcym kilkanaście słów ciepłych i serdecznych, nakreślonych tak powołanem piórem, że świadectwo ich starczy za tysiąc innych.

W lipcu 1788 r. dziewiętnastoletnia wówczas, niezamężna jeszcze, bawiła z ojcem swym, pastorem protestanckim, w miejscu kąpielowem, Pyrmoncie. Tu poznała o dwa lata starszego od siebie słuchacza filozofii w Gottingen, Wilhelma Humboldta. Znajomość trwała trzy dni, oboje mieszkali pod jednym dachem, jedli przy jednym stole i wspólnie z jej ojcem zwiedzili uroczo okolice Pyrmontu. Ogromne pokrewieństwo dusz łączyło ich: „tyle mieliśmy sobie do powiedzenia, tyle poglądów i zapatrywań wymieniliśmy, tyle myśli jednakich zrodziło się równocześnie w nas! O jakąkolwiek strunę trąciło jedno, natychmiast znajdowało w drugiej duszy głośny oddźwięk." Po trzech dniach Wilhelm wyjechał, pozostawiając po sobie na zawsze świetlane pasmo wspomnienia.

Odjeżdżając, wpisał Karolinie następujące słowa:

„Poczucie prawdy, piękna i dobra uszlachetnia duszę i uszczęśliwia serce; ale czemże jest nawet ono, jeśli nie mamy kogoś współczującego, z kim moglibyśmy niem się podzielić?

Nigdy jeszcze nie przenikało mię tak żywo i tak głęboko przekonanie o prawdziwości tego zdania, jak w niniejszej chwili, gdy niepewny, czy się zobaczymy kiedykolwiek, muszę pożegnać panią."

Karolina wycięła tę kartkę i w październiku 1814 r. wysłała ją do dawnego przyjaciela, dołączając bolesne dzieje swego późniejszego życia. Nie zawiodła się. Znakomity pisarz i mąż stanu przechował w swojem sercu jej pamięć. Los jej wywołał w nim prawdziwe współczucie, zrozumiał każdy jej krok i w kilka dni potem wysłał odpowiedź, która była dla niej tem, czem jest rosa dla usychającej rośliny „Każde słowo listu pani — pisał — wzruszyło mię do głębi, postawiłem się w położeniu pani i dziękuję jej z całego serca, iż nie straciła wiary we mnie i otworzyła mi tak szczerze swą duszę."

Zaczęła się odtąd owa wymiana listowna, która wzbogaciła literaturę niemiecką o tak podniosłe i pełne szlachetności dzieło, a Karolinie dała szczęście bodaj w przededniu starości. Wilhelm Humboldt podnosił ją na duchu, rozpraszał jej smutki, nie skąpił rad. Kobiecie znękanej i rozgoryczonej wrócił spokój, ufność w siebie, zadowolenie, nawet wesołość. Z wrodzoną sobie delikatnością pomógł jej w kłopotach materyalnych; przesyłał jej książki, wprowadzał ją w tajemnice twórczości, uczył patrzeć na przyrodę. Działając tak wszechstronnie, przekształcił ją w istotę, która potrafiła wydobyć z siebie siły przeciw dolegliwościom bytu, z własnych dążeń i zalet ukuć pancerz przeciw ich pociskom.

Śmierć zerwała po dwudziestu latach te złote nici. Już od zgonu ukochanej swej żony w r. 1829 Wilhelm zaczął zapadać na zdrowiu; często napisanie jednego listu pochłaniało mu całe popołudnie; a jednak o przyjaciółce młodości wciąż pamiętał i pisywał do niej częściej, niż raz na miesiąc.

Dzięki imieniu Humboldta, Karolina Diede przeszła do potomności, ale zasługiwałaby na to i z innych względów. Było to wcielenie duszy szlachetnej, uczuciowej i buntującej się przeciw niesprawiedliwościom życia. Byłoby za mało tłomaczyć ją romantyzmem.

Obok niej należy postawić jeszcze kilka innych, niezwykłych kobiet. Taką była Karolina Günderode (ur. 1780 r.). Z jej pięknego oblicza o rysach rzymskich można wyczytać piękną duszę. Oko, utkwione w dal, świadczy o przebywaniu w strefach rojeń i ułudy, pod wypukłem czołem lęgną się zapewne wyniosłe myśli. Usta, lekko zaciśnięte, wróżą stanowczość. Cała postać ma cechy wewnętrznej mocy i wyrobionej indywidualności.

Zdolna poetka, szlachetne serce, zapominająca (jak pisze z powodu Herderowskich „Myśli do filozofii dziejów ludzkości") o swoich cierpieniach i chwilach radosnych w szczęściu i bólach całej ludzkości, kipi ona zarazem pełnią uczucia. Los rzuca na jej drogę zwykłego filistra: autora „Symboliki ludów starożytnych," Creuzera. Wnet stosunek serdeczny połączył niedoświadczone, łaknące miłości dziewczę z filologiem. Lecz Creuzer jest żonaty. Kołuje, waha się, chce zerwać z żoną, to znów do niej wraca. Nareszcie Günderodówna znajduje wyjście: wiosną 1806 r. przebija się sztyletem.

Poezye jej, wydane w r. 1804 pod pseudonimem Tiana, celują pod względem formy i myśli. Brentano nazwał je „melancholijnemi, wieszczemi turkawkami.“ Tchną wzgardą dla bytu, litością dla ludzi i dla cierpiącego serca. Twórczość poetycka była jedynem dla niej źródłem pociechy. „We wszystkich dolegliwościach ona mię zawsze odświeżała. Ból zmniejszał się, gdy przelałam go w formę poetycką.“

Pod koniec życia zaczęła coraz bardziej swoją istotę pojmować, jako atom we wszechświecie i przed zgonem układając dla siebie nagrobek w ślicznym pentametrze, żegna się z wszystkimi żywiołami, nie wspominając słówkiem o ludzkości.

Pokrewną jej była Karolina Stieglitz. I ta kończy sztyletem; w grę zaś nie wchodzi nawet powikłanie uczuciowe. Poślubiła człowieka, który wydawał się jej ucieleśnieniem szlachetności i wielkich dążeń. Ukochany (autor poematu „Obrazy wschodnie“) był ptakiem nizkiego lotu. Wystarczyło tego, aby pochwycić broń samobójczą.

Inna: Ulryka Kleistówna, otacza swą miłością nieszczęsnego brata, genialnego dramaturga, Henryka Kleista. Ponieważ ten nie chce wejść w szranki urzędnicze, rodzina wyrzeka się go i jedna tylko Ulryka dzieli z nim niedolę, niesie mu pociechę i pomoc. Niestety, złamany sobkostwem krewnych, obojętnością społeczeństwa i nędzą, poeta odbiera sobie życie; lecz list przedśmiertny do siostry składa świadectwo jej charakterowi: „Ty jedna zawsze mię rozumiałaś i zrobiłaś dla mnie wszystko, co było w mocy nie siostry, ale wogóle człowieka.“

Emma Uhlandowa i Wilhelmina Herzliebówna, to kryształowe zdroje dobroci. O pierwszej można powiedzieć, że „ci, co ją stracili, stracili świat cały.“ Była towarzyszką męża w prawdziwem znaczeniu słowa i we wszystkiem, co stworzył lub zdziałał od r. 1816 świetny poeta, uczony i obrońca wolności, tkwi cząstka jej istoty.

Wilhelmina Herzliebówna stanowi, zdaniem biografów Goethego, pierwowzór Otylii w „Powinowactwach chemicznych.“ Miłe, inteligentne dziewczę, o dużych, czarnych oczach gazeli, widywała często Goethego u swoich przybranych rodziców i niewątpliwie wzajemna sympatya obudziła się w obojgu. Nigdy jednak nie przekroczyła granic życzliwości.

Berdrow zbija przesadne twierdzenia niektórych pisarzy, przedstawiających rzecz opacznie i kreśli następnie sylwetki Kusi Fröhlichówny i Bettiny Arnimowej, autorki „Korespondencyi Goethego z dzieckiem.“ Końcową część książki zajmują biografie kobiet, z któremi jest związane życie Lenaua. Więc matki poety, jako długoletniej przyjaciołki Zofii Löwenthal i narzeczonej Maryi Behrends.

Cierniowy żywot matki wyjaśnia w zupełności istnienie smutku syna. Oto np. scena z ostatnich miesięcy przed urodzeniem poety:

Trzyletnia starsza córeczka pani Niembschowej (to było właściwe nazwisko autora „Polenlieder“) zachorowała na zapalenie opon mózgowych. Ulegając prośbom żony, Niembsch jedzie do Temeszwaru po lekarza. Strapiona matka czeka długie godziny. Dziecko rzuca się nieustannie, zaczyna nareszcie rzęzić; umiera. Matka pada zemdlona z bólu, ale ojciec nie przybywa. Wtem otwierają się drzwi i wchodzą... nie lekarz, nie ojciec, tylko dwaj karciarze, którzy ograli przed chwilą Niembscha na siedemnaście tysięcy guldenów i przyjechali wymódz na żonie uznanie długu, jeśli nie chce, aby kazali dłużnika zatrzymać natychmiast w więzieniu. Prawie nieprzytomna podpisuje nieszczęsna weksel i odtąd całe lata będzie trwać spłata sumy przegranej przez ojca w chwili, gdy konała mu córeczka...

Takie wypadki musiały napoić jadem smutku nawet dziecko, które dojrzewało w jej łonie.

Bolesne było i dalsze życie obojga. Biograf i przyjaciel Lenaua, Schurz, oświadcza, że wogóle temperament i charakter syna był odbiciem temperamentu i charakteru matki i że wielkie swoje zdolności poetyckie Lenau zawdzięcza wyłącznie rodzicielce.

Gorąca miłość łączyła oboje i gdyby nie zgon pani Niembschowej, który w sercu poety zostawił niezagojoną ranę, to prawdopodobnie uniknąłby katastrofy obłędu. Bezpośrednią jej przyczynę stanowił stosunek do Zofii Löwenthal. Poeta poznał tę kobietę w trzy lata po śmierci matki. Była żoną jednego z inteligentniejszych literatów wiedeńskich.

Na tle pokrewieństwa duchowego wyrosła najpierw przyjaźń, potem miłość. Lenau często zapewniał, że nikt na świecie nie rozumie go tak, jak Zofia. To pokrewieństwo dusz rozwinęło się tak znacznie, że oddaleni od siebie o dziesiątki mil, miewali te same myśli. Ta zgodność musiała oddziałać potężnie na człowieka, który pisał w jednym ze swoich listów: „Duchowe pokrewieństwo jest najgłębszą siłą i przewyższa pod względem głębokości wspólczulnej nawet najbardziej harmonijne układy w przyrodzie.“

Ale w miarę jak te dusze zbliżały się do siebie, Lenaua coraz głębiej przenikała potrzeba złączenia się na zawsze. Stosunek czysto platoniczny, jakkolwiek najbardziej przyjacielski, nie mógł go zaspokoić w zupełności. Niestety, rozerwanie węzłów rodzinnych było dla Zofii niemożebne. Lenau sam to uznawał; wszak Löwenthal nigdy go nie uraził, nigdy podejrzeń względem jego uczciwości nie żywił. Nie przeszkadzało to poecie cierpieć srodze. Postanowił nareszcie zerwać węzły. Poznał we Frankfurcie Maryę Behrends i zdawało mu się, że uczucie, jakie w nim obudziła, da mu dość sił, aby dokonać zamiaru. Niestety, starcie, które wynikło wskutek tego między nim a Zofią, gwałtowna walka, tocząca się w jego duszy, złamały w nim równowagę. Jechał wesoły do Wiednia od swojej narzeczonej, ale tu zajęło szybko miejsce dawnego usposobienia ogromne przygnębienie. Jaka tragedya odegrała się nad Dunajem między dwoma sercami — nie wiadomo. Dość, że Lenau stracił zupełnie sen, płakał całemi nocami, a gdy wyjechał nareszcie, poraził go atak nerwowy w Sztutgarcie 29 września 1844 r. Korespondował wciąż z Zofią, błagał ją o spokojniejsze listy. D. 12 października otrzymał od niej list, który go rozdrażnił i zgnębił do najwyższego stopnia. Wieczorem był blady i znękany, nocą nastąpił pierwszy napad obłąkania.

W. Bugiel.

DONIESIENIA URZĘDOWE

Prawit. Wiestnik ogłosił następujący komunikat:

„Dnia 20 lutego (4 marca) r. b. Najjaśniejszy Pan rozkazał general-adjutantowi Wannowskiemu przeprowadzić wszechstronne zbadanie przyczyn i okoliczności nieporządków, które zaczęły się d. 8 (20) lutego w uniwersytecie petersburskim i następnie wybuchły w niektórych innych zakładach naukowych.

Rozpatrując najpoddanniejszy raport general-adjutanta Wannowskiego, Najjaśniejszy Pan raczył przedewszystkiem wyrazić Swój najmocniejszy żal i niezadowolenie, że nieporządki takie, rozszerzywszy się prawie we wszystkich zakładach naukowych w Cesarstwie, mogły powstać i trwać w ciągu blizko trzech miesięcy, naruszając spokojny bieg życia wewnętrznego i zajęć naukowych masy uczącej się młodzieży.

Po bacznem zbadaniu zarówno wyników śledztwa general-adjutanta Wannowskiego, jako też okoliczności późniejszych i przebiegu całej sprawy, o czem donosili odpowiedni ministrowie, Najjaśniejszy Pan Najwyżej rozkazać raczył:

1) Oznajmić Swoje niezadowolenie bezpośrednim władzom i personelowi nauczycielskiemu wyższych zakładów naukowych, że nie zdołały osiągnąć dostatecznej powagi i wpływu moralnego na powierzonych ich kierownictwu studentów i że w samym początku zajść nie przystąpiły z należną niewzruszonością i jednomyślnością do wyjaśnienia i wskazania uczącej się młodzieży istoty jej dobrowolnie obranego powołania i granicy jej praw i obowiązków.

Minister oświaty, jak również inni ministrowie, mający pod swą pieczą wyższe zakłady naukowe, które się stały widownią zaburzeń, powinni użyć napomnień, a o ile zajdzie potrzeba, środków surowych dla skłonienia podwładnych im osób do wypełniania moralnego ich obowiązku.

2) Organom petersburskiej policyi miejskiej, które są wskazane w aktach śledztwa general-adjutanta Wannowskiego, należy zwrócić uwagę na nieumiejętne i niewłaściwe pierwotne rozporządzenia co do utrzymania porządku na ulicach w d. 8 (20) lutego.

3) Jakiekolwiek byłyby zaniedbania i omyłki w działaniu naczelnych osób, w każdym razie nie można darować sprawowania się studentów i słuchaczów, którzy zapomnieli o obowiązku posłuszeństwa i zachowania ustanowionego porządku, obowiązku włożonego na nich skutkiem troskliwości rządu o ich oświatę i utrzymanie. Nikt zpośród nich nie może i nie powinien uważać się za wolnego od obowiązku pracy i zdobywania wiedzy, potrzebnej do służby dla ojczyzny, do której sposobią się na pożytek społeczeństwa. Oni pierwsi przeto winni ochraniać ten porządek, bez którego nauka i wychowanie są niemożliwe.

Z poszanowaniem tego porządku wiąże się nierozdzielnie sam honor zakładów naukowych i każdego ich członka lub wychowańca. I dlatego uczący się we wszystkich zakładach naukowych są obowiązani dla własnego swego dobra poddać się natychmiast porządkowi, ustanowionemu dla nich i wrócić spokojnie do swych prac i zajęć naukowych.

Jego Cesarska Mość nie wątpi, że rodzice młodzieńców oraz członkowie wszystkich stanów, starsi wiekiem i doświadczeniem życia, uważać będą za swój obowiązek stanowczo i bez wahania wytłomaczyć im całą szkodliwość ich porywów, zarówno dla nich samych, jak i dla spokoju społecznego, wzruszonego niepokojami i nieporządkami wśród uczącej się młodzieży.

Niestety, podczas zaszłych rozruchów ogół miejscowy nietylko nie okazał pomocy władzom rządowym w utrzymaniu porządku i przyprowadzeniu do upamiętania zbłąkanej i wzburzonej młodzieży, lecz przeciwnie, w wielu wypadkach sam popierał te nieporządki, pobudzając pochwałami wzburzoną młodzież i mieszając się bezprawnie do rozporządzeń władzy.

Podobne nieporządki na przyszłość nie mogą być cierpiane i powinny być bez żadnego folgowania zwalczane surowymi środkami władzy.

Co się tyczy tych studentów i słuchaczów, których udziału w czynnościach i dążeniach, mających cele polityczne, nie ujawniono, a którzy okazali się winnymi tylko jako kierownicy i uczestnicy zaszłych nieporządków, to od właściwych ministrów, w których zawiadywaniu pozostają wyższe zakłady naukowe, zależeć będzie wymierzenie na nich kar, z możliwem uwzględnieniem winy każdego, o ile łagodzi ją fakt popędu ogólnego.“

W DALI.

Łowicz. W miejscowej resursie obywatelskiej odbyło się nadzwyczajne zebranie członków Towarzystwa pożyczkowo-oszczędnościowego. Przebieg obrad jeden z uczestników podaje do wiadomości publicznej w streszczeniu następ-

pującem. Na porządku dziennym były trzy wnioski, postawione przez członków, a mianowicie: 1) Ze względu na życzenia okolicznych mieszkańców, rozszerzyć działalność Towarzystwa w całym powiecie Łowickim, 2) wydawać pożyczki na zastawy i 3) wprowadzić operacye pośredniczące w celu nabywania przedmiotów niezbędnych do potrzeb domowych członków Towarzystwa i pośredniczenia przy sprzedaży wyrobów ich pracy. Do prawomocności zebrania wymagana była najmniej połowa członków (49), która zaledwie się zebrała o godz. 6 i pół wieczorem. Po otwarciu posiedzenia okazało się, że zarząd Towarzystwa radzi wszystkie trzy wnioski pozostawić do wprowadzenia w roku przyszłym, ponieważ Towarzystwo w ciągu trzech miesięcy wypożyczyło 5,160 rb. i ma do rozporządzenia tylko około 6 tysięcy rubli, to jest za mało na udzielanie pożyczek do końca roku. Instytucya jest jeszcze tak młodą i niedoświadczoną, że musi wpierw nabrać wprawy, że nareszcie okoliczni mieszkańcy mogą sobie założyć takąż kasę itp. Takie dowodzenia zarządu wyczerpująco zbijane były przez dwóch członków, lecz większość zebranych podzieliła obawy prezesa zarządu i wybrała tylko komisyę dla wypracowania przepisów, na których zasadzie będą wydawane pożyczki na zastawy. Do komisyi weszli: pp. E. Zaleski, Skoczyński, Szabłowski, Rejnecke i Satz. Wypracowane przepisy mają być przedstawione nowemu zebraniu i przesłane do uznania ministra skarbu.

Lublin. Straszny pożar zniszczył miasteczko Baranów i leżącą obok niego wieś Zawady w powiecie Nowoaleksandryjskim. Przyczyną klęski podobno było nieostrożne obchodzenie się z ogniem kilku chłopców, którzy rozniecili ognisko w pobliżu zabudowań. Zgorzało 181 domów mieszkalnych i 133 zabudowań gospodarskich, ubezpieczonych na 75,000 rb. i na przedmieściu Zagrody: 14 domów mieszkalnych i 30 różnych budynków, czyli ogółem w pożarze tym spłonęło 358 zabudowań. Oprócz spalonych nieruchomości, zginęło w płomieniach nieubezpieczonego dobytku na sumę 30,000 rb. Straty ogólne przenoszą 100,000 rb. Ofiarą pożaru w Baranowie stało się 400 rodzin (w tej liczbie 250 żydowskich) i na Zagrodach 21 rodzin wyłącznie chrześciańskich. Pogorzelcy, pozbawieni na razie dachu i mienia, w znacznej części porozchodzili się po okolicy za zarobkiem lub żebraniną. W celu niesienia pomocy pogorzelcom zawiązał się komitet powiatowy.

Petersburg. Najjaśniejszy Pan raczył przeznaczyć do rozporządzenia A. Porochowszczikowa 100,000 rubli na urządzenie w Moskwie lub jej okolicach wzorowej osady wiejskiej, zabezpieczonej od pożaru. Przy osadzie będzie szkoła dla kształcenia majstrów do budowania domostw wiejskich i miejskich, wytrzymałych na ogień. — Rada wydziału historyczno-filologicznego w uniwersytecie petersburskim przedłużyła termin składania prac na temat „Mickiewicz i Puszkin, do grudnia 1900 r. (*Now. Wr.*) — Dnia 4 b. m. w restauracyi Miedwiedia odbył się uroczysty obiad, urządzony przez redakcyę *Kraju* z powodu setnej rocznicy urodzin Puszkina. Przybyło około 80 osób. Oprócz członków redakcyi *Kraju* uczestniczyło wielu zaproszonych wybitnych rosyjskich literatów i uczonych z wicedyrektorem akademii nauk, Majkowem. Na przewodniczącego wybrano Spasowicza. Po krótkiej mowie powitalnej p. Piltz odczytał około 20 telegramów zpośród tych, które otrzymano z powodu jubileuszu Puszkina od polskich instytucyj, redakcyj i osób pojedynczych z Królestwa Polskiego i z zagranicy. Pomiędzy telegramami były: z Krakowa od komitetu, utworzonego dla obchodu jubileuszu Puszkina, ze Lwowa od senatu uniwersytetu lwowskiego, od Towarzystwa imienia Mickiewicza we Lwowie, od syna Adama Mickiewicza z Paryża, od dzienników krakowskich, lwowskich, poznańskich i innych zagranicznych polskich, od członków parlamentu niemieckiego i pruskiej Izby panów, Józefa Kościelskiego, Stefana Cegielskiego, od Elizy Orzeszkowej, Bolesława Prusa, od redakcyj pism warszawskich *Słowa* i *Kuryera Polskiego* i od dzienników prowincyonalnych w Królestwie Polskiem. Przemawiali: prof. Spasowicz, senator Koni, Ł. A. Połonskij, prof. Weinberg, S. A. Andrejewskij, współredaktor *Słowa*, Donimirski, prof. Karejew, prof. Arsenjew, Ł. I. Dyszma, Gurewicz i inni.

— W dalszym ciągu nadesłano na konkurs poetycki *Prawdy* następujące utwory:

67) Concordia.
68) Ostatnie kartki.
69) Księga miłości.
70) Z dziejów duszy.
71) Dyabeł w Krakowie.
72) Nad Pilicą.
73) Zdzisław.
74) Zofia.
75) Spowiedź.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. *Praw. Wiestn.* zamieścił okólnik p. ministra komunikacyi z d. 18 (30) maja r. b. nr. 55, zalecający zarządom kolejowym, naczelnikom robót, głównym inżenierom itd., dopilnowanie jaknajściślejsze, ażeby robotnicy kolejowi otrzymywali od przedsiębiorców robót swoją płacę w terminie i w całości: Okólnik spowodowały liczne skargi robotników na wstrzymywanie przez przedsiębiorców wypłaty zarobków.

— *Kuryer Rolniczy* donosi, że z jednej tylko gubernii Kaliskiej wyruszyło do Prus około 60,000 robotników wiejskich za chlebem. Liczba ta oczywiście nie jest pewna, gdyż bilety na przejście granicy, t. zw. „półpaski“ otrzymują tylko mieszkańcy powiatów pogranicznych; reszta, dla uniknienia kosztów i formalności urzędowych, przekrada się potajemnie za przewodnictwem naganiaczy, którzy naprzód biorą po rublu od głowy, a potem doprowadziwszy do granicy, zdzierają drugie tyle i więcej od zdanych na ich łaskę biedaków. Ci zresztą idą na zamówienie do miejsc oznaczonych i mają przynajmniej niejaką pewność dostania roboty. Ale oprócz tych, znaczna liczba idzie na oślep, narażając się na to, że i zarobku może nie dostać i żandarmerya pruska, jako włóczęgów, etapem do granicy napowrót odstawi. Naczelnik prowincyi szlązkiej wydał rozporządzenie: 1) żeby robotników z za kordonu rosyjskiego nie przyjmować do fabryk i kopalni, lecz tylko wyłącznie do robót polnych na czas ich trwania; 2) tych, którzy zgodzonych robót wykonać nie chcą, odstawiać do granicy. Do *Kuryera Rolniczego* donoszą także z Płocka, że kręcą się tam w okolicy „naganiacze“ z Inflant, obiecując rubla dziennie dorosłemu robotnikowi do żniwa z dodatkiem: kaszy, mąki, kartofli, słoniny i kosztów podróży tam i napowrót. Obywatele wiejscy muszą tedy sprowadzać chłopów galicyjskich. Dzieje się to także na Kujawach i w gub. Kaliskiej, choć cena robotnika sprowadzonego wraz z kosztami podróży jest wyższą od zwykłych cen miejscowych.

Szkoły. Dzienniki donoszą, że politechnika petersburska otrzyma odrębną organizacyę. Wydział handlowy będzie miał za zadanie krzewić wyższe wykształcenie handlowe; wydział budownictwa okrętów będzie służył potrzebom marynarki handlowej. Nadto będą wydziały: metalurgiczny, elektro-techniczny i naukowy. Ten ostatni ma przysposabiać profesorów dla politechnik i wyższych zakładów naukowych technicznych. Na początek będą sprowadzeni do politechniki petersburskiej profesorowie zagraniczni.

— Według wyjaśnienia władzy ministeryalnej, od opłaty szkolnej mogą być zwalniani w gimnazyach i progimnazyach synowie nauczycieli-Żydów i lekarzy-Żydów, którzy przebyli najmniej 10 lat w służbie ministeryum oświaty. Od opłaty tej również mogą być wolni synowie pastorów, wykładających religię w centralnych szkołach niemieckich.

Departament przemysłu i handlu, jak donosi *Syn Ot.*, zamierza urządzać szkoły artystyczne w miejscowościach, których ludność oddaje się przemysłowi domowemu; pierwsza taka szkoła powstanie w Jekaterynburgu.

— Ze względu na wzrastający napływ słuchaczów w politechnice ryskiej i wysokie wpisowe, wynoszące 160—200 rb. rocznie, ministeryum oświaty wyjednywa w radzie państwa kredyt roczny w sumie 5,000 rb., począwszy od r. p. na powiększenie liczby stypendyów i zapomóg dla słuchaczów instytutu. Według *Nowosti*, kurator okręgu naukowego miejscowego występuje z projektem wprowadzenia wykładów religii dla słuchaczów politechniki.

Kasa literacka. Czysty dochód z wieczoru literackiego w resursie Kupieckiej na rzecz kasy przyniósł czystego dochodu przeszło 1,000 rb. Komitet postanowił nie przyjąć 500 rb., złożonych na rzecz kasy literackiej przez p. Landaua, właściciela domu bankowego.

Teatry ogródkowe. Rozpoczęły one w r. b. sezon letni w Warszawie bardzo niepomyślnie, z powodu zimna i ciągłej niepogody. Pod względem staranności i doboru sił aktorskich, widzimy znaczny postęp w towarzystwach wędrownych. Szczególnie wyróżnia się teatr łódzki p. Michała Wołowskiego. Dobry dobór aktorów i staranna wystawa sztuk w większości wcale nie „ogródkowych,“ jak ongi bywało, kiedy to gra sceniczna była akompaniamentem do brzęku kufli i wesołej rozmowy biesiadników. W tak zwanym „Odeonie“ (dawniej Bellevue) usadowił się p. Smotrycki ze swoją trupą. I tu widzimy większą dążność do podniesienia poziomu sztuki wędrownej. Trzecia trupa obrała sobie siedzibę letnią „Wodewil,“ czwarta, lwowska—gmach cyrkowy przy ul. Ordynackiej. Damy osobną ocenę wybitniejszych nowości, granych w „ogródkach.“

Wystawy i zjazdy. Korespondent kijowski *Now. Wr.* donosi, że na zjeździe archeologicznym w Kijowie obrady toczyć się będą w języku rosyjskim, lecz komitet naukowy zjazdu może wyznaczać posiedzenia specyalne, których językami obrad mogą być francuski, niemiecki i słowiańskie. „W ten sposób uprawniono język polski — pisze korespondent — to też na zjeździe spodziewani są liczni uczeni Polacy z Krakowa, Lwowa, Poznania, Warszawy itd.“ Dalej korespondent donosi, że Towarzystwo Szewczenki we Lwowie wystąpiło do komitetu zjazdu z zapytaniem, czy w obradach może być używany język małoruski. Komitet oddał tę sprawę do rozstrzygnięcia zarządu Cesarskiego Towarzystwa archeologicznego w Moskwie, które udzieliło w tych dniach odpowiedzi twierdzącej, z zastrzeżeniem atoli, że referaty mogą być drukowane w pracach zjazdu tylko po rosyjsku.

— W sali Muzeum przemysłu i rolnictwa artystka-malarka i kierowniczka szkoły malarstwa dla kobiet, p. Bronisława Poświkowa, urządziła wystawę prac własnych z zakresu sztuki stosowanej do przemysłu.

— Przy Nowym-Świecie pod nr. 35 otwarto wy- [illegible]

— W lokalu Towarzystwa sztuk pięknych (Krak. Przedm. 64) otwarto wystawę pośmiertną dzieł Juliusza Kossaka.

Zmarli. Klaus Groth, w Kiel, poeta ludowy niemiecki.

— Jan Strauss, słynny kompozytor w Wiedniu.

— Rudolf Schwartz, dyrektor Towarzystwa muzycznego we Lwowie.

Odpowiedzi Redakcyi

P. P. Złotowskiemu w Łodzi. Berliński ma opinię lepszą. Skończywszy 25 lat, można zapisać się bez egzaminu. Konieczne jest świadectwo z gimnazyum tutejszego, lub egzaminu w zakresie programu gimnazyalnego. Wolni słuchacze przyjmowani są bez egzaminów.

Panom H. D. w Łodzi i *K. Zambrzyckiemu w Rokitnie.* Dokładnego adresu nie znamy. Najlepiej poinformuje pismo miejscowe: Ryga, redakcya gazety *Rižskij Wiestnik.*

OGŁOSZENIA.

Stacya kolei Muszyna-Krynica, z Krakowa 8 godzin jazdy, ze Lwowa 12 godzin, z Buda-Pesztu 12 godzin.

Krynica

POCZTA (trzy razy dziennie) i Urząd telegraficzny w miejscu. APTEKA

C. k. Zakład zdrojowy w Galicyi.

W Karpatach 590 n. p. m. Od stacyi kolejowej Muszyna-Krynica godzina bitej drogi. Na stacyi wygodne powozy.

Środki lecznicze: Zdroje: „Zdrój główny“ i „Słotwinka,“ bardzo silnej szczawy wapienno i magneziowo-sodowo-żelazistej.

Kąpiele mineralne bardzo obfite w kwas węglowy wolny, metodą Schwarza ogrzewane. Nader skuteczne kąpiele borowinowe. Kąpiele gazowe z czystego kwasu węglowego.

Skarbowy Zakład hydropatyczny pod kierownictwem specyalisty Dr. H. Ebersa.

Kąpiele rzeczne, elektryczne, mięsienie (massage), lecznicze, dyetetyczne i tezonowe. Klimat wzmacniający, podalpejski.

Wody mineralne, krajowe i wszelkie zagraniczne. **Kefir**, żentyca, mleko sterylizowane. — Gimnastyka lecznicza. Apteka.

Lekarz zakładowy: Dr. Leon Kopff z Krakowa, stale cały czas ordynujący. Nadto 12-tu lekarzy wolno-praktykujących.

Rozległe spacery. Park szpilkowy około 100 mórg. — 1500 pokoi z zupełnem urządzeniem. Kościół rz. kat. Cerkiew. Restauracye. **Pensyonaty. Czytelnia.** Dom zdrojowy. Stała muzyka zdrojowa. Stały teatr. Frekwencya w roku 1898—4730 osób.

„GAZETA POLSKA,“

Dziennik polityczny, społeczny i literacki, wychodzi w Warszawie przy współpracownictwie doborowych sił pisarskich.

„Gazeta Polska“ od roku zeszłego daje prenumeratorom swoim **stałe**, jako

Bezpłatny Dodatek Tygodniowy:

co tydzień książkę.

W ten sposób każdy prenumerator „Gazety Polskiej“ otrzymuje od nas

COROCZNIE

52 tomy książek **darmo.**

Wydawnictwo takie odpowiada potrzebom **rodzin**, którym, obok pisma codziennego, stale dostarcza bez kosztu zdrową lekturę książkową, zapoznającą zarówno z ruchem literatury współczesnej, jak z arcydziełami dawniejszej.

Bezpłatny Corocznie 52 TOMY DARMO. Dodatek.

Tom tygodniowy dodatku rozsyłany jest **bezpłatnie** wszystkim prenumeratorom, zarówno w Warszawie, jak na prowincyi. Obejmuje dziesięć arkuszy druku i ma za treść co tydzień inny utwór, wybitny, bądź oryginalny, bądź tłomaczony.

Dotychczas, tj. od rozpoczęcia wydawnictwa w październiku roku zeszłego weszły do niego dzieła następujących pisarzy: **H. Andersen'a, Józefa Blizińskiego, J. Breton'a, Adolfa Dygasińskiego, J. W. Goethe'go, Artura Gruszeckiego, E. Goncourt'a, Klementyny z Tańskich Hofmanowej, T. T. Jeża, Maryi Konopnickiej, Stanisława Kozłowskiego, Teofila Lenartowicza, Jana Lama, J. Lie, Ireny Mrozowickiej, Józefata Nowińskiego, Tadeusza Pądalicy, St. Pileckiego, E. Rostanda, Marka Twaina, Michała Synoradzkiego.** Razem w ciągu trzech kwartałów 39 tomów **21** autorów. W druku dzieła **Elizy Orzeszkowej, Klemensa Junoszy** i w. in.

Bezpłatny Corocznie 52 TOMY DARMO. Dodatek.

W wyborze materyału literackiego do naszych dodatków książkowych dopomagają nam pp.:

Zygmunt Gloger, K. Kaszewski i Ign. Matuszewski.

CENA „GAZETY POLSKIEJ“ wraz z Bezpłatnym Dodatkiem Tygodniowym: **W Warszawie:** Rocznie 9.60; półrocznie 4.80; kwartalnie 2.40; miesięcznie kop. 80. Z odnoszeniem do domów.

Z przesyłką pocztową: Rocznie rb. 12; półrocznie rb. 6. Kwartalnie rb. 3.

CENA OGŁOSZEŃ w „Gazecie Polskiej:“ Za wiersz petitowy lub jego miejsce na czwartej stronie za pierwszy raz kop. 10, za następne po kop. 8. Za wiersz petitowy reklamy na 3 stronie kop. 15. Za wiersz petitowy na pierwszej stronie kop. 30. Nekrologi wiersz kop. 15.

Redaktor i wydawca ***Jan Gadomski.***

Adres: Warszawa, Warecka 14.

SŁOWNIK JĘZYKA POLSKIEGO,

ułożony pod redakcyą J. Karłowicza A. Kryńskiego i W. Niedźwiedzkiego

najobszerniejszy i najtańszy z dotąd wydanych.

Przedpłata: Za całość (4 tomy w 24 zeszytach 160 stronnicowych) 10 rubli. Za tom (6 zeszytów) 2 rb. 50 kop. Zeszyt pojedynczy 50 kop. Na przesyłkę dołączyć należy na każdy zeszyt 25 kop. w kraju, 30 kop. za granicą.

Administracya, skład główny i prenumerata Słownika w redakcyi „Gazety Handlowej,“ Warszawa, ul. Szpitalna, 10.

Wyszedł zeszyt I (A do Blacha), str. 160.
„ „ II (od Blacha do Ciążyć) str. 160.
„ „ III (od Ciążyć do Docisnąć) str. 160.

Do nabycia we wszystkich księgarniach:

Poradnik dla samouków

CZĘŚĆ DRUGA k. 80 bez przesył.

Sachalin

TOM DRUGI kop. 80 bez przesyłki.

Księgarnia p. f. E. WENDE i Sp. (Krakowskie-Przedm. 9), otrzymała na skład główny

KSIĄŻKĘ ZBIOROWĄ

dla uczczenia 25-letniej działalności

Aleksandra Świętochowskiego

p. t.

PRAWDA

złożoną z 88 prac wybitnych pisarzów polskich, z wyczerpującą bibliografią pism, portretem i życiorysem A. Świętochowskiego.

Wydanie wytworne, in 4-o, na papierze welinowym. Str. LXXIX i 525.

Cena rubli **pięć.** Do nabycia we wszystkich księgarniach.

CAŁY ROK Hydropatja, Elektryczność, Masaż i t. d.

NAŁĘCZÓW

w LECIE Kąpiele Żelaziste, Borowinowe, Kumys, Gimnastyka.

Do nabycia we wszystkich księgarniach

Gerharta Hauptmanna

„DZWON ZATOPIONY“

75 kop.

„HANUSIA“

60 kop.

„Woźnica Henszel“

60 kop.

Wydawnictwo Władysława Okręta.

Czarniecka Góra, nagrodzona na II wyst. hygienicznej, **stacya klimatyczna leśno-górska 1,000 stóp** wzniesiona, w okolicy wolnej od malaryi, z własnośc. przeciwgruźliczemi **dla płucnych, gardlanych, rekonwalesc., anemicznych kobiet, dzieci, podagryków** itp. Zakład hydropat. dla nerwowych, wszelkie nowoczes. kuracye. Letnie mieszk. Informacye: Dr. Misiewicz, Złota 14, od 5—7.

Spółka Nakładowa.

Brandes Jerzy. Główne prądy literatury europejskiej XIX w., tom V. Szkoła romantyczna we Francyi, z portretem autora, str. 402 — rs. 1.50.

Chmielowski Piotr dr. Autorki polskie w. XIX, studyum literacko-obyczajowe, ozdobione sześciu portretami, str. 541 — rs. 2.

Gumplowicz L. System socyologii — rs. 3 kop. 30.

Heine Henryk. Wybór pism, t. I, w przekładzie Maryi Konopnickiej, Józefa Kościelskiego, Aleksandra Kraushara i in. Wydanie ozdobne, z portretem autora, str. 298 — kop. 60.

— Wybór pism, t. II. Podróż do Harcu, Włochy, w przekładzie M. Gawalewicza, C. Jelenty i Maryi Konopnickiej, str. XIII i 328 — rs. 1.

— Wybór pism, t. III. Księga Le Grand, Noce florenckie, w przekładzie Maryi Konopnickiej — 1 rs.

A. Okolski. Ustrój państw europejskich i Stanów Zjednoczonych Ameryki — rs. 3.

Smoleński Władysław. Drobna szlachta w Królestwie Polsk., studyum etnograficzno-społeczne, str. 66 — kop. 60.

— Przewrót umysłowy w Polsce wieku XVIII, studya historyczne. 8-o, str. 424 i VI — rs. 2 kop. 50.

Prus Bolesław (Aleksander Głowacki). Szkice i obrazki, tomów cztery, z portretem autora — rs. 5, w ozdobnej oprawie rs. 6 kop. 20.

Śpiewnik dla dzieci, z tekstem M. Konopnickiej, muzyką Z. Noskowskiego. Wydanie ozdobne, z rysunkami Władysława Podkowińskiego, zawiera 50 piosnek z towarzyszeniem fortepianu i tekst oddzielny — rs. 2 kop. 50.

Światełko, książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono autorów polskich. W ozdobnej oprawie, z drzeworytami w tekście, str. 274 — rs. 1.

a koszta przesyłki do każdego rubla należy dołączyć kop. 15.

Biuro i eksped. **Spółki Nakładowej:** Warszawa, **Nowogrodzka 39.**

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 28 Мая 1899 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.